

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 6 marca 1909. Nr. 10

Bandytyzm w Czechach.

(Treść na str. 2).



Bandytyzm w Czechach.

(Do illustracyi tytułowej).

Napady bandyckie, które taką trwogą przejmowały mieszkańców Królestwa Polskiego, a potem z czasem ucichły, od czasu do czasu ponawiają się jeszcze tu i ówdzie, siejąc łatwo zrozumiałe przerażenie. W pierwszej chwili rozglądając się za sprawcami, przypuszcza się zawsze sprawców z za granicy, śledztwo wykazuje jednak najczęściej, że należało szukać w najbliższem otoczeniu, gdyż z biegiem czasu i postępu nagromadziło się wszędzie wiele osobników które, nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, radeby w jak najłatwiejszy sposób przyjść do posiadania majątku.

W ubiegłym tygodniu, w Młodym Bolesławiu (Jung-Bunzlau) w Czechach, do kancelaryi adwokata dra Mareczka, który wówczas sam jeden znajdował się w biurze, wpadli dwaj młodzi zamaskowani mężczyźni i zażądali od niego pieniędzy. Kiedy dr. Mareczek chciał się bronić, bandyci rzucili się na niego, zranili go ciężko sztyletem, związali i zakneblowali mu usta. Następnie z kasy zabrali kilka tysięcy koron, zegarek i łańcuszek poczem, zamknąwszy na klucz drzwi od kancelaryi, zbiegli w niewiadomym kierunku. Gdy w dwie godziny później przybył solicytator dra Mareczka i nie mógł się dostać do kancelaryi, podejrzywając coś złego, wyważył drzwi, a wszedłszy do środka, ujrzał mecenasa, leżącego bez przytomności na ziemi w ogromnej kałuży krwi. Gdy go z trudnością przyprowadzono do przytomności, opowiedział, że napastnikami byli młodzi ludzie, twarzy ich jednak nie widział, gdyż byli zamaskowani. Rozpoczęto natychmiast energiczne śledztwo, poszukując sprawców z za granicy, usiłowania nie zostały jednak uwieńczone należytym wynikiem. Aresztowano wprawdzie kilka podejrzanych indywiduów, lecz na ślad bandytów nie wpadnięto. Między aresztowanymi znajduje się i były służący dra Mareczka, na którym ciąży podejrzenie, iż był on jednym ze wspólników, a znając dokładnie rozkład mieszkania i zwyczaje chlebodawcy mógł bardzo łatwo wprowadzić napastników, lub przynajmniej udzielić im potrzebnych wskazówek. Śledztwo toczy się energicznie w dalszym ciągu, wynik jego otacza jednak, rzecz prosta, ścisła tajemnica urzędowa.

Illustracya nasza, sporządzona według nadesłanego nam szkicu, przedstawia zamaskowanych bandytów w chwili napadu na kancelaryę adwokata dra Mareczka.

Zgon wybitnego polityka.

Smutną wieść przyniósł nam telegraf w dniu 26 b. m. W Wiedniu zmarł na zwapnienie aorty, były profesor i rektor uniwersytetu lwowskiego i były minister dla Galicyi, Dr. Leonard Piętak.

Urodzony w r. 1841 w Przemyślu, po ukończeniu studyów średnich wstąpił na wydział prawny lwowskiego uniwersytetu i tu otrzymał w r. 1867 stopień doktora praw. Po ogłoszeniu kilku cennych prac z zakresu prawa został w r. 1869 powołany na katedrę uniwersytecką, jako zastępca profesora prawa handlowego i wekslowego. W r. 1870 mianowany nadzwyczajnym profesorem, w r. 1874 uzyskał zwyczajną katedrę tegoż przedmiotu, a w



Zgon wybitnego polityka: Ś. p. Dr. Leonard Piętak.

dwa lata później został nadto profesorem zwyczajnym prawa rzymskiego. — Grono profesorów wydziału prawniczego wybierało go trzykrotnie dziekanem, a senat akademicki dwukrotnie powierzał mu zaszczytną a odpowiedzialną godność rektora lwowskiej Almae matris. — W roku 1883 zamianowany został członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności. Od r. 1886 należał ś. p. Piętak przez lat 14 do lwowskiej Rady miejskiej, zajmując w niej jedno z miejsc najwybitniejszych. Od r. 1888—1900 był nadto prezesem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, przez rok pełnił także funkcye prezesa galicyjskiej Kasy Oszczędności.

W październiku 1893 został wybrany posłem do parlamentu z miasta Lwowa, jako następca Smolki. W r. 1899 zajął miejsce pierwszego wiceprezydenta Izby a w r. 1900 powołany został na stanowisko ministra dla Galicyi, otrzymując tytuł tajnego radcy. Był także posłem na Sejm krajowy.

Ś. p. zmarły należał do obozu postępowo-demokratycznego, a dla swej prawości i czystego charakteru cieszył się szacunkiem nawet u politycznych przeciwników. Życiem wewnętrznem młodzieży, jako profesor, interesował się ś. p. Piętak żywo i gorąco. Towarzystwa akademickie miały w nim szczerego opiekuna, był też inicyatorem i hojnym ofiarodawcą jubileuszowej fundacyi uniwersyteckiej, o którą materyalnie silnie się oparł powołany niedawno do życia Dom Akademicki. I później los młodzieży i lwowskiego uniwersytetu leżał mu zawsze na sercu, ile mógł popierał w Wiedniu krajowe interesy, a niejedna z ważnych dla Galicyi spraw urzeczywistnienie swoje zawdzięcza tylko jego interwencyi. Polska nauka i lwowski uniwersytet tracą w ś. p. Piętaku jednę ze swych największych ozdób, kraj i społeczeństwo najczystszych intencyj zasłużonego obywatela.

Cześć jego pamięci!

Nowi pracownicy dla Kółek rolniczych.

Instytucya Kółek rolniczych, na której rozwój i ekonomiczne znaczenie dla kraju z początku zapatrywano się dość pessymistycznie, z czasem doszła w Galicyi do takich rozmiarów, że stanowi obecnie jednę z dźwigni rodzimego handlu i krajowego dobrobytu. Lud wiejski, dla którego jest przeznaczoną, widząc jaki pożytek stąd odnosi, garnie się do niej coraz chętniej. Obecnie niema w Galicyi większej wsi, w której nie byłoby sklepiku Kółka rolniczego; obok sklepików powstają kasy Raiffeisenowskie i spółki rolnicze, które umożliwiają wieśniakom zaopatrywanie się na dogodnych warunkach w wyborowe ziarno do siewu, nabywanie najpotrzebniejszych maszyn rolniczych, słowem, przyczyniają się do popędu racyonalnego gospodarstwa, na którem nam dotąd zbywało. Zasługa to głównа centralnego zarządu, który potrafił sprawę pokierować na właściwe tory, niemniejsza jednak i kół powiatowych, które nie szczędzą trudów, aby tak pożyteczna instytucya rozwijała się ciągle i zyskiwała w najszerszych kołach konieczne zaufanie.

Zarząd główny dokłada też ciągle starań, aby przysposobić świeże zastępy współpracowników, którzyby krzewili tę pożyteczną ideę, w tym też celu urządził we Lwowie sześciodniowy kurs dla instruktorów i dla organizatorów „Kółek“. Kurs ten odbył się w ubiegłym tygodniu w szkole imienia Sta-



Nowi pracownicy dla Kółek rolniczych: Grono kierowników i uczestników sześciodniowego kursu dla organizatorów i lustratorów Kółek rolniczych we Lwowie.

szica. Do zebranych uczestników kursu przemówił wiceprezes głównego zarządu dr. Bronisław Dulęba, poczem odbył się wykład inauguracyjny. Wykłady na kursie objęli: prof. dr. Grabski, dr. Bronisław Dulęba, prof. Pomorski, Miczyński, Adamski i inni



Z życia rodziny papieża: Siostra ojca św. Piusa X., Teresa Parolin, gotująca obiad.



Ubóstwo księży we Francyi: Ksiądz wynalazcą spirytusowej lampy bezpieczeństwa.

znani działacze w Kółkach. W kursie wzięło udział siedmdziesięciu delegatów, przeważnie włościan, także nauczyciele ludowi i akademicy. Wytrwałą a owocną pracę ukończono w ubiegłą sobotę, a uczestnicy rozjechali się do domów, aby pomnożyć zastępy pracowników na polu podniesienia dobrobytu krajowego.

Ubóstwo księży we Francyi.

Obecny socyalistyczny rząd francuski doprowadził przed kilku laty do zupełnego rozdziału państwa, przyjmując za zasadę, iż religia jest rzeczą prywatną każdego obywatela. W następstwie tych uchwał pozbawiono duchowieństwo francuskie wszelkich subsydyów ze strony rządu, majątki kościelne pokonfiskowano, a każdy z duszpasterzy musi się sam starać o zebranie sobie potrzebnego funduszu na utrzymanie. Bogatsze, a po katolicku usposobione gminy, dbają jeszcze o los swych przewodników duchowych nie oglądając się na rozporządzenia rządu, natomiast w wielu miejscach duchowni znaleźli się zupełnie bez środków utrzymania i własnym przemysłem muszą się starać zarobić sobie na chleb codzienny. Czytaliśmy o proboszczu, który otworzył warsztat mechaniczny, gdzie naprawiał rowery i samochody, inny fabrykował parasole inni wreszcie oddawali się rozmaitym rękodziełom, aby przecież nie zginąć śmiercią głodową. Illustracya nasza, zamieszczona w bieżącym numerze, przedstawia wnętrze sklepu w jednem z większych prowincyonalnych miast francuskich, w którym sprzedają różnego rodzaju lampy i piecyki spirytusowe i naftowe. Obok lady sklepowej stoi ksiądz, który dla uzyskania funduszów poświęcił się pracy około udoskonalenia lampki spirytusowej i wynalazł wreszcie model lampy bezpieczeństwa, wykluczającej absolutnie wszelką możliwość eksplozyi.

Z życia rodziny papieża.

Niejednokrotnie już najwyższą godność w Kościele katolickim t. j. godność papieską, osiągali ludzie, pochodzący z ludu, a i obecny papież, ojciec św. Pius X., jest, jak wiadomo, synem ubogiej rodziny wieśniaczej. Rodzina była to liczna, gdyż stanowiło ją siedm sióstr, oprócz ojca św. Pomimo jednak tak wysokiego stanowiska, jakie osiągnął jeden z jej członków, rodzina Sarto żyje tak jak dawniej w bardzo skromnych warunkach. Trzy ze sióstr papieża, a mianowicie dwie niezamężne Marya i Anna, oraz trzecia najstarsza Teresa, wdowa po niższym funkcyonaryuszu pocztowym Parolin, zamieszkały w Rzymie w pobliżu Watykanu, aby być jaknajbliżej swego ukochanego brata.

Na załączonej rycinie widzimy właśnie tę ostatnią siostrę Piusa X., gdy zajęta jest przyrządzaniem skromnego posiłku przy ognisku z „okapem“, które tak podobnem jest do naszych kuchni z dawnych dobrych czasów, gdy jeszcze były nieznane



Śmierć ruskiego publicysty: Ś. p. Włodzimierz Łucyk.

kuchnie angielskie opalane węglem. Ubożuchne mieszkanie sióstr Ojca św., świadczy jak dalekim jest on wszelkiego nawet śladu nepotyzmu. Na jego ręce wierni składają znaczne kwoty pieniężne, lecz on używa ich tylko na cele Kościoła, a nie dla siebie.

Śmierć ruskiego publicysty.

Publicystyka ruska w Galicyi, partyi staroruskiej, utraciła w ubiegłym tygodniu jednego z najzdolniejszych i najsympatyczniejszych przedstawicieli. Zmarł mianowicie w 51 roku życia Włodzimierz Łucyk, współredaktor *Hałyczanina*.

Ś. p. Łucyk ukończył gimnazyum w Brzeżanach, a wydział prawniczy na uniwersytecie lwowskim. W młodym już wieku poświęcił się dziennikarstwu oraz literaturze. Z przekonań zwolennik programu staroruskiego, człowiek wysokiej kultury, wobec narodu polskiego zawsze przychylnie usposobiony, stał się wnet siłą bardzo pożyteczną w dziennikarstwie.

Pracował kolejno w *Nowym Przełomie*, *Czerwonej Rusi* i *Hałyczaninie*, to jest w jednym właściwie organie, który jednak z biegiem czasu rozmaite przybierał nazwy, aż jako dziennik ustalił swój tytuł *Hałyczanina*.

Po za pracą dziennikarską zajmował się żywo literaturą, a niektóre jego fejletony i nowele tłomaczone są na język polski.

W życiu politycznem szerszem nie brał udziału, nie uchylał się jednak od pracy w towarzystwach, bądź ekonomiczne, bądź kulturalne cele mających na oku.

Cieszył się z powodu zalet umysłu i serca powszechną sympatyą i mirem. Zmarł w zakładzie dla chorych umysłowo w Kulparkowie, gdzie spędził ostatnie trzy lata swego życia, nawiedzony ciężką chorobą nerwową.

Ruch wolnościowy w Persyi.

Persya, która niegdyś była jednym z najdalej w kulturze posuniętych krajów azyatyckich, skutkiem nieustannych wojen, napaści z zewnątrz i wewnętrznych niepokojów spadła do rzędu państw, przedstawiających pod każdym względem ruinę. Dziś liczy ona tylko niecałe 10 milionów ludności, pogrążonej w absolutnej ciemnocie, a w dodatku bardzo biednej, rządzona zaś jest przez zgraję urzędników, wyzyskujących swych współobywateli w niemiłosierny sposób. Wprawdzie poprzedni szach, Muzaffer ed Din, miał dużo dobrych chęci, czego dał dowód, obdarowując swoje państwo konstytucyą, to jednak szach obecny, Mohammed Ali, zawiesiwszy ją, zburzył dzieło ojca, a kraj, w którym skutkiem tego wybuchła rewolucya, pogrążył w straszną anarchię. Do tego trzeba jeszcze dodać niebezpieczne sąsiedztwo Rosyi, Anglii i Turcyi, które nie mają wcale w tem interesu, aby Persya kiedyś się odrodziła.

A przecież, pomimo tak fatalnych okoliczności, budzi się wśród Persów ruch wolnościowy, dążący ku wywalczeniu dla kraju lepszych rządów i do szerzenia w nim oświaty, będącej podstawą cywilizacyi. Pomimo wiekowego ucisku, w jakim był cały naród perski pogrążony, zdobył się on na walkę z szachem w obronie konstytucyi, a nawet kobiety perskie, traktowane dotąd, jak wszędzie na Wschodzie, jako niewolnice wszelkich praw pozbawione

zaczynają odczuwać potrzebę światła przez które spodziewają się dojść do równouprawnienia.

Rycina nasza przedstawia jedną z pierwszych szkół dla młodszych i starszych dziewcząt, jaka powstała w Teheranie. Widzimy na niej, że wiele z dziewcząt nie zasłoniło twarzy, czego tak pilnie przestrzegają kobiety muzułmańskie. Jestto, wobec tamtejszych stosunków, jaskrawym dowodem kiełkującej wśród kobiet perskich emancypacyi, która stanowi jeden z objawów ruchu wolnościowego w „państwie lwa i słońca“, jak Persowie lubią nazywać swą ojczyznę.



Przesilenie ministeryalne: Dawid Abrahamowicz.

Tragiczna śmierć na obczyźnie.

Gdy śmierć dosięgnie starca, który kilkadziesiąt lat przeżywszy, z tęsknotą oczekiwał już chwili wyzwolenia od trosk i cierpień, godzimy się z wolą Opatrzności, odzywając się nieraz z żałością: a przecież mógł żyć jeszcze lat kilka. Jak odmienne uczucie ogarnia nas jednak na wiadomość o śmierci młodzieńca, rokującego jak najpiękniejsze nadzieje, który w kwiecie wieku skutkiem nieszczęśliwego wypadku kończy swój żywot, z którym łączyło się tyle nadziei zarówno rodziny jak i całego społeczeństwa. Wówczas żal nie ma już granic, bolejemy nad stratą, tem boleśniejszą, że niespodziewaną, pocieszając się przecież, że to nieunikniony koniec, który każdego oczekuje, a żadną siłą uchylić go nie potrafimy. Opatrzność naznaczyła nam rozmaite drogi. Niejeden, który wzdycha do owego wiecznego spokoju, długo jeszcze będzie pchał z trudem swą taczkę, inny, wyglądający, jak uosobnienie życia, stoi już może u kresu.... Niezbadane są wyroki, więc się też musimy z nimi godzić!

Takie bolesne uczucie ogarnęło nas na wiadomość, że w zatoce wyspy Teneryfy znalazł śmierć 27-letni Kazimierz Sapieha z Krasiczyna, najstarszy syn ks. Władysława, głowy linii Kodeńskiej i hr. Elżbiety Potulickiej. O samym wypadku brak dotąd bliższych szczegółów, wiadomo tylko, iż trzej książęta Sapiehowie, Kazimierz, Leon i Aleksander, którzy bawili tam w celu poratowania zdrowia, urządzili wycieczkę barką rybacką w głąb zatoki. W czasie wycieczki barka uległa rozbiciu, dwaj bracia zdołali się uratować, najstarszy zaś Kazimierz znalazł śmierć w bezdennych nurtach.

Ś. p. Kazimierz, ukończywszy studya prawnicze i zdawszy drugi egzamin rządowy, przygotowywał się do doktoratu, a zaletami serca i umysłu zyskał sobie ogólną sympatyę wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli sposobność z nim się zetknąć. Rokował on na przyszłość najświetniejsze nadzieje, to też tak tragiczna i niespodziewana śmierć przejęła rodzinę głęboką żałobą, którą podziela i całe nasze społeczeństwo, tracące w tych ciężkich czasach jednostkę, która mogła wiele dobrego zdziałać dla biednego kraju.

Zwłoki nieszczęśliwej ofiary, której portret w bieżącym numerze podajemy, przewiezione będą do Krasiczyna i pochowane w rodzinnym grobowcu.

Szczególny zwyczaj.

W południowej słowiańszczyźnie przechowało się wiele dawnych, patryarchalnych obyczajów, o których nawet słuch gdzieindziej zaginął. Szczególniej zaś Czarnogórcy, mniej, niż inne ludy południowo-słowiańskie ulegający wpływom kultury, zachowali dotąd niektóre zwyczaje, co sięgają w daleką przeszłość.

Obecnie panujący książę czarnogórski, Mikołaj, nadał wprawdzie swemu kraikowi konstytucyę, lecz nie mógł zmienić jednem pociągnięciem pióra tradycyj, w jakich wzrośli jego mieszkańcy. Do tych tradycyj należy przedewszystkiem stosunek, łączący ich z księciem, a przypominający w zupełności średnie wieki. I tak np. książę Mikołaj zachowuje dotąd zwyczaj udzielania swym poddanym posłuchań pod otwartem niebem na ganku swej skromnej rezydencyi w Cetynii. Skoro książę się tam ukaże, otaczają go wierni „junacy“ i przedkładają mu swe prośby, skargi i spory, które załatwia na miejscu bez apelacyi, jak ongi król francuski Ludwik IX pod historycznym dębem w Vincennes. Oszczędza to Czarnogórcom wiele czasu i kosztów, które musieliby ponosić, udając się do sądu, a zarazem podnosi osobistą powagę księcia wobec jego poddanych.

Po skończonem posłuchaniu ci z obecnych, z którymi książę rozmawiał, dopuszczeni są do ucałowania jego ręki. Wielu z nich jednak nie zadowala się w ten sposób okazaną czołobitnością, lecz klęka i całuje jego stopę.

Rycina nasza przedstawia właśnie zakończenie posłuchania u księcia Mikołaja, tak mało licujące z godnością obywateli „konstytucyjnej“ Czarnogóry.



Przesilenie ministeryalne: Dr. Władysław Dulęba.



Gość z dalekiego Wschodu w Wiedniu: Książę japoński Kunijoszi.



Na ulicach Konstantynopola: Golarze uliczni.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

10 Ciąg dalszy.

Słysząc to imię, brat wszystko zrozumiał. To była jej zemsta. Lecz on ją ukarze, byle tylko został wolnym, rzucił się więc do księcia.

— Jeżeli jeszcze krok postąpisz zabiję cię jak psa.

— A więc dobrze bijmy się, jeżeli nie mogę inaczej cię przekonać, dzika bestyo.

Wyszli na łąkę przed pałacyk.

— Ognia! — zawołał książę.

Rozległy się dwa strzały. Książę zachwiał się raniony w ramię, Robert padł na ziemię z przestrzeloną piersią.

Przez długie dnie czuwałem przy jego łóżku. Dworski doktór wyjął kulę, która przebiła płuco i ugrzęzła w łopatce.

— Wówczas — Maurycy spojrzał na Joannę— nadeszła depesza i list podpisane: Aurora. Chciałem mu je pokazać, gdy oprzytomnieje. Cóż więcej mogłem uczynić? Odpowiedzieć? Lecz jak? Komu?

W tym czasie zjawił się i ochmistrz dworu. Chciał zeznań brata:

Koniecznem jest, mówił mi, by poseł dał wyjaśnienia. By pana uspokoić, mogę dodać, iż wiemy już, że stał się ofiarą podstępnych machinacyj. Książę Storwicz został w błąd wprowadzony. Posiadamy list, w którym ta awanturnica, księżna Strekow, szydziła z łatwowierności zabójcy, iż tak łatwo uległ jej podszeptom. Listy pisane jakoby przez brata pańskiego, sama ułożyła. Chciała się zemścić na pośle, a zarazem i księciu za jakąś odmowę. Obecnie ona już uciekła, zacierając za sobą wszelkie ślady. Wolą króla jest, by całą sprawę umorzyć. Książę Strekow w rozpaczy usiłuje targnąć się na swoje życie i dlatego jest strzeżony. Król polecił mi wyrazić posłowi swoje najwyższe ubolewanie.

Wiadomość ta przyniosła bratu ulgę, przekonał się bowiem, iż na nazwisku jego nie leżała żadna plama. Z osłabienia jednak zemdlał dwa razy. Wieczorem tegoż dnia nadeszła depesza, podpisana: Aurora de Morailles, na którą natychmiast odpowiedziałem.

Z biednego Roberta pozostał tylko cień. Podniosła się gorączka; przez całą noc bredził. Na drugi dzień, gdym wszedł do niego, zastałem go leżącego na pościeli, spokojnego z jaśniejszym wyrazem w oczach.

Uśmiechnął się, zaczął rozmawiać. Wtedy powiadomiłem go o depeszach i liście. Zbladł strasznie i wyszeptał:

— Boże mój, Boże! Aurora cierpi, a ja jej pomódz nie mogę! Dlaczego nie dałeś mi zaraz listu i depesz?

Kazał je sobie przynieść, przeczytał, trzymając w drżących rękach.

— Dziecko! — szeptał.... — Aurora mieć będzie moje dziecko. Ja muszę tam jechać.... Zatelegrafuj, by tutaj przyjechała. Jej obecność przywróci mi zdrowie.... Ach ja nieszczęśliwy.... Zdrowia! Zdrowia!... Prawda, ja wyzdrowieję? Weźmie rozwód i ja ją poślubię.... Ja chcę jej bronić!... Moje dziecko!

Krew rzuciła mu się z ust, krwotok odebrał mowę. Zwołano konsylium. Adjutant królewski czekał na wiadomość o zdrowiu. Przyszedł do siebie i prosił, by wszyscy wyszli. Pozostałem z nim sam.

— Maurycy, wielkie moje winy — rzekł — ale drogo za nie płacę. Najszczęśliwszym z ludzi byłem przy Aurorze, a ona cierpi....

Chciałem mu przerwać, dodać nadziei, że w przyszłości.... lecz nie dał mi skończyć.

— Chciałbym wierzyć, lecz po co się łudzić. Przybliż się, mogę ci teraz powiedzieć.

I zbierając swe siły, opisał mi swe szczęście w Roche Forte, mówił o dziecku, iż nigdy go nie zobaczy. Wtedy mówił o pani:

— Proś jej, by broniła Aurory, wam dwojgu polecam ją i to biedne dziecko. Auroro, Auroro!... Spal list i depeszę, powiedz jej... — brakło mu sił, mówił ciężko oddychając — moja ostatnia myśl.... była....

Podniósł się ostatnim wysiłkiem i wyszeptał;

— O niej.

To były ostatnie słowa Roberta... w kilka chwil już nie żył.

Nastąpiło długie milczenie. Maurycy siedział z pochyloną głową, twarz zakrywając rękami. Joanna cicho łkała.... Wreszcie Maurycy, tłumiąc dobywające się z piersi westchnienie, mówił dalej:

Spaliłem ostatnią depeszę. Dlaczego nie zrobiłem tego samego z drugą depeszą i listem — nie wiem. Były to dla mnie pamiątki po bracie, najbardziej z nim związane, z ostatniemi chwilami jego życia. Schowałem je. Po ośmiu dniach zaglądając do biurka, spostrzegłem, że ich tam niema. Zacząłem szukać, lecz daremnie. Zginęły — zostały skradzione. Kto i dla kogo mógł je ukraść? nie mogłem domyśleć się, wreszcie przyszła mi na myśl „Czarna księżniczka“. Lecz ona opuściła Belgrad, kto więc tego dokonał? Widocznie ktoś ze służby.

W kilka dni potem dostałem list pani Morailles z zapytaniem o koniec brata. Nie śmiałem odpowiedzieć, bałem się przyznać do straty listu. Zacząłem po przerwie palić na nowo opium. Oddałem się temu, stałem się nędznym. W chwilach zupełnej jasności umysłu wyrzuty męczyły mnie, nie dawały spokoju, chciałem naprawić swój błąd. Opium nie dawało mi tego uczynić. Wreszcie oddałem się w ręce lekarza specyalisty, który umieścił mnie w specyalnem sanatoryum. Jakie męki przechodziłem tam, zanim zostałem wyleczony. Dokoła mnie rozlegały się męki tych, którzy błagali choć o najmniejszą dozę tej rozkosznej trucizny; niejeden z bolu zdołał omylić czujność straży i wyskoczył z okna, znajdując w śmierci uwolnienie od mąk. Wreszcie zostałem wolny od tej namiętności i jedynem mojem staraniem było naprawić błąd, zło, jakie jej uczyniłem i jakiem jeszcze jest zagrożona.

— Jakie zło — zapytała Joanna zaniepokojona. — Czyżby ten list?

— Papiery te znajdują się w ręku „Czarnej księżniczki“, napisała mi o tem. Uciekła do Amerkyi i stamtąd dała mi znać, ze je posiada i zemści się z ich pomocą na swej szczęśliwej rywalce.

— Co pan mówi! — zawołała przerażona Joanna — ona ma te papiery?

— Tak!

— I pan nic nie może zaradzić?

— Ona jest nieuchwytna, nigdy nie wiadomo gdzie się znajduje. Zmienia jak kameleon twarz i nazwisko. Dała mi adres do Hamburga. Napisałem, że za wszelką cenę odkupię ten list i depeszę, odpowiedziała mi jednak: „Panu nigdy i za żadną cenę“.

— Potem przez długi czas nie słyszałem o niej, aż wreszcie spotkałem ją znowu w Paryżu i teraz ona sprzedaje może markizowi tajemnicę pani Morailles.

— Gdzie ją pan spotkał?

— Wczoraj przed teatrem; stałem w przedsionku razem z przyjacielem, gdy ona wyszła z jakąś damą w towarzystwie mężczyzny. Spostrzegła mnie, poznała. Lecz to nie jest już „Czarna księżniczka“: jej wspaniałe czarne włosy stały się jasnemi, ciemne suknie zamieniły się w jaskrawe, zapewne też i nazwisko ma już inne. Chciałem się zbliżyć do niej, lecz szybko odjechała.

— Może pan się pomylił, może to tylko podobna — zapytała Joanna oszołomiona nowem nieszczęściem.

— Nie, jestem pewny.

— Dlaczego?

— Pan Morailles wyszedł za nią, a wsiadając do samochodu kazał dogonić oddalającą się karetę.

— To straszne. Więc pan sądzi?

— Przypuszczam, że markiz ma już dane do odkrycia tajemnicy żony.

— Tak, on już ma podejrzenia. Musiałam przed chwilą kłamać, by uwolnić Aurorę; powiedziałam, że Jacek jest moim synem.

— Pani to uczyniła? Ach! co za poświęcenie; podziwiam, a zarazem żałuję, że sam tak mało jestem wart. Lecz teraz po dokonanej spowiedzi, czy podniosłem się w oczach pani? Czy mogą mi panie zaufać i przyjąć za sprzymierzeńca?

Za całą odpowiedź Joanna podała mu rękę, którą on wzruszony uścisnął.

— Lecz co teraz czynić? Po co zdarzyła się ta zamiana dzieci? — zawołała Joanna i opowiedziała mu całe zdarzenie z Jackiem, jak również i z listem, który Aurora pozostawiła przy mężu.

— Musimy bronić pani Morailles — rzekł Maurycy — a przedewszystkiem tego, komu grozi pierwsze niebezpieczeństwo.

— Kogo?

— Jacka.

— W jaki sposób?

— Popełniły panie błąd, wychowując go w oczach markiza. Trzeba go teraz ukryć.

— Ja mam opuścić Aurorę? — zawołała Joanna. — Nigdy?

— Lecz to konieczne, by zachować życie jej syna.

— Nie zgodzi się na to.

Sama może będzie tego chciała. Kto wie, co jutro przyniesie? Uznała się pani za matkę Jacka, było to śmiałe, nie rozwiązuje jednak trudności. Pan Morailles będzie chciał wiedzieć, kto jest jego ojcem.

— Pytał się o to, lecz na szczęście wszedł pan.

— Trzeba więc wyszukać ojca. Czy zna pani kogo, któryby był zdolny okazać tyle poświęcenia, co i pani?

— Mój Boże, nie myślałam o tem.

— Pani jest kobietą, która bez pomocy męża w obecnem społeczeństwie nic zdziałać nie może. Czy pani ma choć majątek, któryby dał niezawisłość pani?

— Niestety, nie mam.

— Więc pani ma ręce zupełnie związane. A czy pani wie, com zamierzał zaproponować pani Morailles?

— Nie, niech pan powie.

— Jestem wolny. Żadne więzy nie łączą mnie z przeszłością. Jestem kawalerem i dość bogaty, ponieważ dziedziczę i po Robercie. Powziąłem zbawczą myśl uznać Jacka ze swego syna. Jestem jego stryjem wobec natury, mogę być jego ojcem wobec prawa.

— Ale....

— Tak, ja wiem, co pani sądzi.... Jacek godny jest lepszego ojca, nie obciążonego takiemi winami jak ja.... Adoptując go, pozostawiając mu swe imię i majątek, zbliżam go do ojca. Nosi już imię Roberta, będzie się nazywał Le Chars. Oby tylko pani Morailles zgodziła się, a dziecko to, będzie miało zapewnioną opiekę.

— Więc pan gotów to uczynić!... Lecz Jacek jest jeszcze tak małym, wymaga trosk..

— A czyż nie ma on pani?... — odezwał się ze wzruszeniem Le Chars.

— Mnie? lecz z jakiej racyi jeszcze ja?

— Pani uważa się za matkę, jak ja za ojca, możemy go więc przyznać.

— Ależ w jaki sposób?

— Przez małżeństwo — odpowiedział Maurycy, drżąc w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Czy pan mówi seryo?

— Pani jeszcze wątpi o mojej szczerości? Ponieważ chcemy oboje oswobodzić, pani swą przyjaciółkę, ja tę, którą brat mój kochał, a więc połączymy się. Pani zapewne pragnęła lepszego towarzysza życia....

— Nie — rzekła Joanna, chwytając się rękami za skronie — lecz ja nie wiem, czy to marzenie, czy ja dobrze słyszałam.... Pan sam ulega pierwszej myśli....

— Tak, pani ma prawo do namysłu, lecz w ten sposób najlepiej przekonamy markiza o niewinności jego żony.

— To wszystko dzieje się tak nagle; tak to dziwne, co mi pan mówi.... to jakaś szalona myśl...

— Tak, jeżeli pani mną pogardza, to istotnie miałem szaloną myśl.

— Ja mam dla pana wiele sympatyi — odpowiedziała szczerze Joanna — lecz, żeby wyjść za mąż....

— Pani będzie mogła badać mnie, czy zasługuję na co więcej, niż sympatyę. Pani może towarzyszyć mi razem z Jackiem do Wenecyi, będzie pani żyła zupełnie wolna, a gdy nadejdzie dzień, w którym pani zdecyduje się uszczęśliwić mnie...

— Uszczęśliwić?

— Tak uszczęśliwić, gdyż ja nie znajdę nikogo na świecie tak czystego. To ja nie zasługuję na taką żonę. W ten sposób jeszcze więcej poświęca się pani dla Aurory.

— Ach, żeby to tak było...

— Niech pani zgodzi się na to przez miłość dla tego, który już nie żyje i dla tej, której grozi niebezpieczeństwo.

— Przypuśćmy, że pański... że mój... że nasz wyjazd rozproszy podejrzenia markiza, pozostaje jednak inne niebezpieczeństwo.

— Jakie?

— Groźby „Czarnej księżniczki“.

— Ach! — zawołał Maurycy, zaciskając pięście — żebym mógł ją zgnieść jak żmiję!

Może będzie można uwolnić się od niej?

— Czy pani ma jaką nadzieję?

— Może. W każdym razie Aurora będzie wiedziała za godzinę o całej naszej rozmowie.

— Pani idzie do markizy?

— Tak.

— Do pałacu?

— Tak.

— Niech pani będzie ostrożną, tam ściany mają uszy.

— Ona jest istotnie szpiegowana, będę roztropna.

— Powtórzy pani i moją propozycyę?

— Muszę.

I Joanna zarumieniła się, co jeszcze dodało uroku jej pięknej twarzy.

— Tak bardzo chcę wiedzieć?...

— Co takiego?

— Co panie postanowią; choć jedno słowo z ust pani...

— Miejmy nadzieję.

Wymawiając tę odpowiedź, silniejsze rumieńce zabarwiły jej twarz, a na ustach ukazał się uśmiech.

— Kiedy mogę wrócić po odpowiedź.

— O piątej godzinie tutaj.

Maurycy powstał i żegnając się, ucałował po raz pierwszy jej rękę.

XVIII.

ROGGERS AND COCKLEY.

Roggers, alias Smith, po pożegnaniu się z markizem w halli Electric-Hotelu, wsiadł do windy i zajechał na czwarte piętro do pokoju Cockleya. Towarzysza swego zastał wyciągniętego w fotelu z nogami założonemi na stoliku powyżej głowy. Ubrany w kratkowany garnitur, w skórzanej czapce zsuniętej na tył głowy, mister Cockley palił krótką fajeczkę, popijając co chwila whisky, z ciepłą ocukszoną wodą.

— O, dobry wieczór — rzekł, nie poruszając się z miejsca.

Był to rudy, niski mężczyzna, o pomarszczonej twarzy, całej w szramach, z nosem jak kartofel i z kociemi oczami. Roggers na jego czole wyczytał tę samą myśl, która i jego zajmowała: okradzenie Sunda. Razem wyjechali w piętnaście dni po mniemanych złodziejach i teraz czekali na załatwienie formalności co do ekstradykcyi odszukanych włamywaczy. Opierając się tylko na pewności moralnej, nie mogli odważyć się na aresztowanie. A jednak....

W spojrzeniu, jakie z sobą zamienili, widniała rozbudzona czujność, cała bystrość ich umysłu.

— Masz co — zapytał Roggers.

— Tak.

— Dobrego?

— Bardzo dobrego.

I Cockley, lakoniczny jak i jego towarzysz, puścił całą masę dymu, poczem dodał:

— To ona.

— Na pewno?

— Tak. Po południu w prefekturze, spotkałem szefa Magu i spensyonowanego agenta Flocharta: Stary oryginał. Wszystko wie na pamięć. Stwierdzona identyczność. Odkryta przeszłość damy, wziąłem notatki.

Zmęczony tak długą mową. Cockley wyjął portfel i dobył z niego długą kartkę papieru, którą Roggers zaczął zaraz czytać:

„Marya Dolores Colson, z ojca Anglika, naturalizowanego Francuza i matki Hiszpanki. W piętnastym roku sprzedana przez matkę wdowę staremu bankierowi, który stawał przed sądem za rozpustę. Odsprzedana po roku fabrykantowi, u którego była dwa lata; opuściła go dla subjekta, którego utrzymywała i z którym miała dziecko. Opuszczona przez kochanka, staje się upadłą zupełnie. Gra figurantki w małych teatrach. Za kradzież skazana na sześć miesięcy więzienia; po odsiedzeniu opuszcza Francyę. Powraca po siedmiu latach bardzo bogata w towarzystwie eksgenerała boliwijskiego; podaje się za jego córkę pod imieniem: Marya Coritad della Forre. Po śmierci protektora — apopleksya lub otrucie — biednieje i wyjeżdża. Występuje za granicą, gdzie olśniewa urodą, występując pod nazwiskiem księżny Strekow; zdaje się, że istotnie poślubił ją potajemnie stary milioner, książę Strekow. Sygnalizowana z Londynu, Kairu, Wiednia pod imieniem „Czarnej księżniczki“, zamieszkuje Belgrad, skąd ucieka po tajemniczej śmierci księżniczki Storwicz i naszego ministra Roberta Le Chars. Poznana w Europie, ginie w Ameryce, aż do swego powrotu do Paryża. Mieszka w Electric Hotelu, zapisana jako hrabina Givers; ma towarzyszkę, której nie stwierdzono identyczności. Śledzona z powodu częstych wizyt u jubilerów“.

Roggers złożył papier i odezwał się:

— W Chicago nazywała się tylko mistres Barmann. Zupełnie zmieniła się teraz; przypatrywałem się jej w teatrze; ona tylko, a nie kto inny, pomogła Hawkinsowi do okradzenia starego Sunda.

— A Hawkinsa masz?

Cockley, zapytując o to, przymrużył oczy. Roggers wzruszył ramionami.

— Nie. Przeklęty łajdak!

— Żadnego podbjrzenia?

— Nie.

— Szukaj dobrze.

— Nie — odpowiedział po raz trzeci zirytowany Roggers. — Gentleman, który im towarzyszył w teatrze, to figurant tylko.

— Nie w jego więc skórze chowa się Hawkins...

— A w jakiejże? — zapytał podrażniony Roggers. — Powiedz, jeżeli wiesz.

— Wiem, lecz to mnie bawi, jak ty szukasz.

— Niech cię dyabli! Cockleyu, masz nieznośny charakter.

Mały rudy człowiek zaczął się śmiać tak serdecznie. iż wywołał uśmiech i na ustach Roggersa, który, trącając go w ramię, zapytał:

— Masz jaką myśl, co robić.

— Zrobiłem.

— Jak? Co?



W tejże chwili stanęła w nich wysoka piękna postać kobieca w koszuli...

— Byłem w pokoju obu dam podczas obiadu.

— Do dyabła! niebezpiecznie. Jakby cię zabili?

— Nic nie szkodzi, przebrany za robotnika: niebieska bluza i skrzynka z narzędziami.

Ah! no?

— *Yes!* zreperowałem dzwonki w ich pokojach.

— Jakto?

— Już nie dzwonią.

— Oh! oh!

— Obejrzałem rewolwer starej damy. Komiczne: stara lady i duży rewolwer nabity.

— I cóżeś zrobił?

— Zmienione naboje.

— Eh! Eh!

— *Yes!* A teraz o trzeciej w nocy iść do nich.

— Doskonale, Cockley. Nie będą alarmowały, bo dzwonki popsute, nie strzelą, bo naboje z piaskiem. Jak wejść? Grube drzwi! Nie można robić hałasu.

— Oh! *dear sir*, zabawka! Zamek odkręcony, ledwie się trzyma. Popchnąć i wejść.

— Hurra! Będą krzyczały.

— Nie; starą trzeba utrzymać w respekcie, ja lub ty. Młoda, hrabina Givers, mistress Barmann, księżna Strekow, Marya Caritad della Torre, albo jak chcesz, Colson, będzie cicho.

— Dlaczego cicho, będzie krzyczała.

— Nie, będzie się bała. gdy zobaczy swą szanowną matkę spokojną. W potrzebie trochę chloroformu starej pod nos.

— Po co usypiać?

— Stalowe ręce i stalowe pięści, jakich stare lady nie miewają...

— Oh! — podskoczył Roggers. — Mówisz że..

— Mówię: tak.

— Stara jest?...

— *Well!* Hawkins przebrany. Doskonale gra. Tęgi chłop.

— I ty także! Winszuję, Cockley! Jak odkryłeś?

— Palec.

— Jakto, palec?

— Odcisk.... Urządziłem, że stara powalała palec o rozlany atrament na stole i wytarła w serwetkę. Jest to palec Hawkinsa, zmierzony i fotografowany pięć lat temu w Nowym Jorku

— Inny dowód?

— Jest. Wszedłem z tacą przebrany za lokaja, gdy dama myła się. Odwróciłem się skromnie, gdym już zobaczył. Znak opalenizny, jaki Hawkins ma na prawej łopatce. To on. Przeklinała mnie stara lady, jak nie arystokratka.

— Jakżeś ty się przebrał?

— Rządca hotelu uprzedzony przez policyę, pomaga; myśli, że to szczury hotelowe.

— Doskonale. A walizy obejrzałeś?

— Tak. Akcyi niema, ale notowane we wszystkich bankach, nie zginą. Brylanty mistres Sund są w czarnym kuferku. Widziałem.

— *All right!* Po co w nocy, skandal, sąsiedzi?

— Jak lepiej?

— Jutro zatrzymać przez policyę.

— I co?

— Zrewidować w policyi, aresztować i żądać ekstradycyi w imieniu rządu.

— Bardzo proste — zgodził się niechętnie Cockley.

Lubił romantyczne rozwiązania, przygody, melodramaty.

— Ale tak nie można — zwrócił uwagę Rodgers.

— Dlaczego?

— Chcę mieć papiery, które mnie bardzo interesują. Potrzeba pięć minut rozmowy z mitress Barmann, bo to jest ostatnie jej nazwisko w Ameryce.

— A więc w nocy do nich?

— Pójdziemy?

— A tam?

— Weźmiemy brylanty. Dziesięć tysięcy dolarów dla każdego, przyrzekła mitress Sund.

— Tak — odpowiedział Cockley, któremu powrócił już humor. Dobra sprawa.

— Doskonała.

— Pokój 66,

— I 66 bis.

Roggers wyciągnął się na kanapie i głowę wsunął między poduszki.

— Prześpię się tymczasem.

— Śpij.

Cockley nałożył sobie świeżą fajkę.

Zwolna życie w hotelu zamarło; ustały wszelkie szmery, zamykanie drzwi, skrzypienie windy, wszystko zasnęło. Roggers obudził się i spojrzał na zegarek, dochodziła trzecia. Cockley kończył swą ostatnią fajkę.

— Przygotować swą toaletę?

— Czas już.

Obydwaj ajenci zdjęli pocichu obuwie i nałożyli gumowe pantofle; okryli się szarymi płaszczami, pod którymi znikły zupełnie kształty ich postaci, na twarze przywdziali maski z okularami automobilowemi. Cockley wziął ponadto płócienny woreczek.

— Na brylanty — szepnął.

— O ile znajdziemy — odpowiedział Roggers, sprawdzając, czy lampka elektryczna dobrze funkcyonuje; na rękę nałożył kastet.

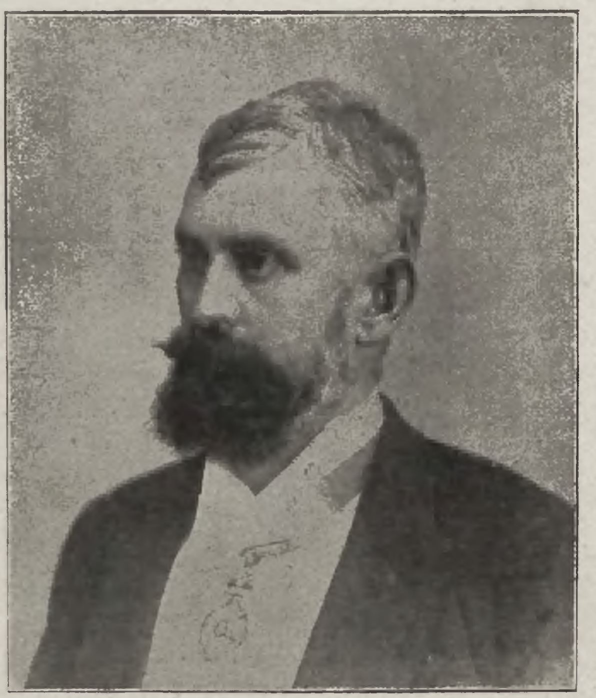
— Teraz chodźmy — dodał. — Acha! zapomniałem sznura — i ten znikł w worku Cockleya.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli na siebie. Chociaż wszystko przygotowali, szli jednak na los szczęścia. Gdy atakowano Hawkinsa, zawsze groziło niebezpieczeństwo śmierci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W obliczu wojny.

Jedyne w swoim rodzaju widowisko, jakie przedstawia malutka Serbia, prowokująca bez dobrej racyi Austro-Węgry w ciągu czterech miesięcy, zdaje

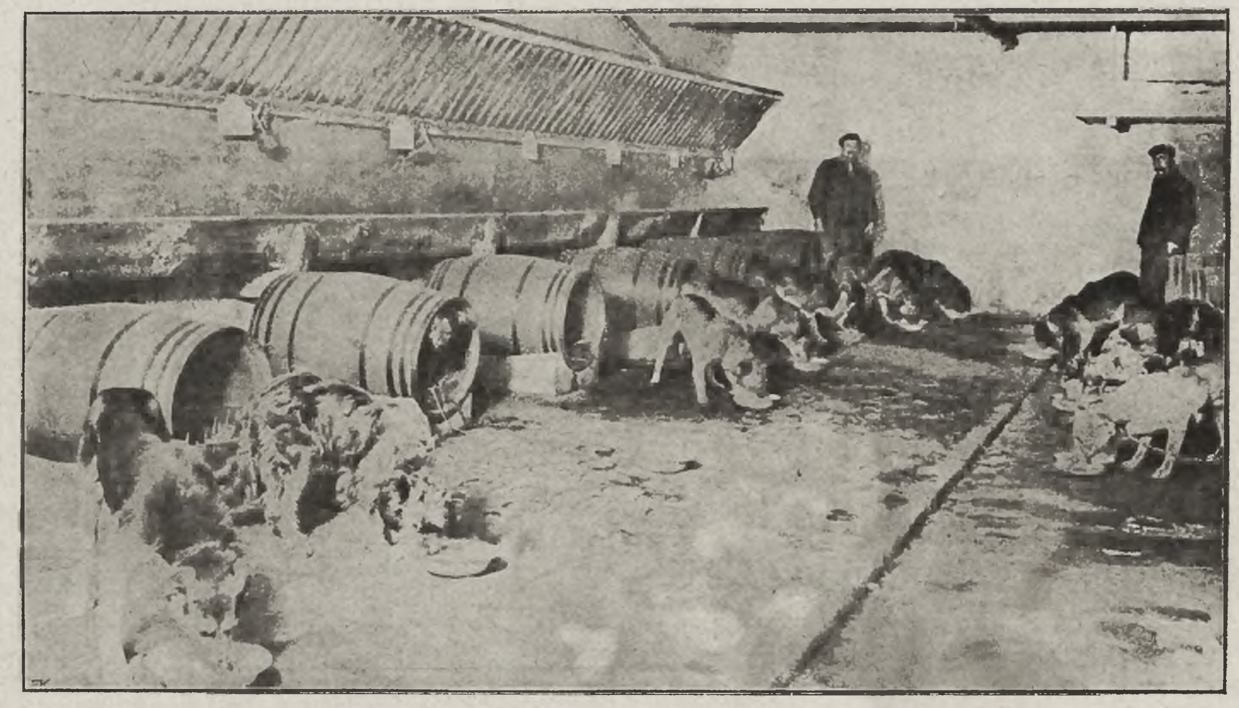


W obliczu wojny: Nowakowicz, prezydent gabinetu serbskiego.

się zbliżać ku końcowi. Z jednej strony cierpliwość sfer miarodajnych w Wiednlu jest na wyczerpaniu, z drugiej zaś — serbscy mężowie stanu stracili możność kierowania opinią kraju, na którą wywierają obecnie wpływ decydujący ludzie narwani w rodzaju następcy tronu, ks. Jerzego. Pchają oni Serbię do awantury, mogącej się zakończyć fatalnie i dla tego kraju i dla dynastyi Karageorgiewiczów. Niewyraźne zaś zachowanie się dyplomacyi rosyjskiej, które *desperados* serbscy tłomaczą na swoją korzyść, przyczynia się także do powiększenia niepewności w międzynarodowej sytuacyi politycznej. Zaczyna jej tedy grozić straszne widmo nietylko austryacko-serbskiej, ale powszechnej wojny europejskiej, której tak bardzo wszyscy się obawiają.

W trudnych więc okolicznościach przyszedł w Serbii do steru gabinet koalicyjny pod wodzą Nowakowicza — którego portret obok podajemy — znanego nieprzyjaciela Austro-Węgier. W gabinecie tym, znaleźli się znów Milowanowicz i gen. Żiwkowicz. Sympatyzują oni otwarcie z awanturniczą polityką ludzi, pchającą Serbię za każdą cenę do wojny z sąsiedniem mocarstwem i w tem leży właśnie niebezpieczeństwo zakłócenia pokoju.

Przyjście do władzy tego gabinetu, jest zapowiedzią, że rozsądne rady naprawdę Serbii życzliwych mocarstw, prawdopodobnie nie znajdą posłuchu w Belgradzie. Gdyby się tak stało, oczekiwać trzeba w najbliższym czasie bardzo doniosłych wypadków na półwyspie Bałkańskim. Turcya bowiem także nie może pozostać bezczynnym świadkiem wojny między Austro-Węgrami a Serbią.



Psy na usługach policyi: Stajnia dla psów policyjnych w zabudowaniu paryskiej prefektury policyi.

Psy na usługach policyi.

Używanie psów do tropienia ludzi nie jest rzeczą wcale nową, gdyż w opowieściach z życia niewolników w pierwszej połowie XIX stulecia spotykamy wzmianki o specyalnie tresowanych psach, którymi plantatorowie posługiwali się przy poszukiwaniu zbiegłych niewolników. Obecnie znakomity węch i pojętność psa znajdują zastosowanie w służbie wywiadowczej wojskowej, a głównie przy śledzeniu zbrodniarzy. Każdy człowiek wydziela pot o charakterystycznym zapachu, zapomocą którego pies jest w stanie wyszukać jego ślady nawet wśród tysiąca innych i tem tłumaczy się właśnie, że niejednokrotnie, np. pies ze wsi, dostawszy się do miasta, wśród zgiełku i ruchu wyszukuje zaginiony ślad swego pana i pospiesza za nim. Przy odpowiedniej tresurze owe psie zdolności rozwijają się jeszcze lepiej i dochodzą do pewnej doskonałości.

W najnowszych czasach zwrócono baczną uwagę na pomoc psów przy śledzeniu zbrodniarzy, szczególniej w wielkich miastach i rozpoczęto specyalną tresurę psów policyjnych, które mają podwójne zadanie, szukają bowiem tropów złoczyńcy, a w razie potrzeby stają w obronie detektywa, który je prowadzi lub przyczyniają się do ubezwładnienia pojmanego winowajcy. Zakłady, tresujące psy do celów policyjnych zaprowadzono już w Anglii, Francyi i Niemczech. Wyuczony pies potrafi zachować tam, gdzie potrzeba, jak największe milczenie, stać wytrwale i bez rozkazu nie ruszyć się z miejsca, ni wysunąć nawet na krok naprzód. W ostatnich czasach przy pościgu za Rozpruwaczem w Berlinie zaprowadził pies agentów policyjnych do stacyi tramwajowej i stamtąd już ruszyć się nie chciał, a zachowanie się jego wskazało, że zbrodniarz zbiegł tram-



Przed koncertem we Lwowie: Członkowie krakowskiego Chóru akademickiego.

wajem. Obecnie i w Wiedniu ma się zawiązać Towarzystwo, zajmujące się tresurą psów dla pomocy policyi (w armii austryackiej już ją dawno zaprowadzono), a celem przekonania publiczności o wartości psów policyjnych, przybędzie w kwietniu b. r. do Wiednia naczelnik psiego oddziału policyi berlińskiej ze swymi czworonożnymi agentami i będzie robił z nimi różne doświadczenia.



Maskarada w szpitalu dla obłąkanych: Chorzy umysłowo w kostyumach maskaradowych.

Illustracya nasza przedstawia wspólne mieszkanie czworonożnych Sherlocków Holmesów, pozostających na utrzymaniu policyi paryskiej i oddających jej nader wielkie usługi.

Przed koncertem we Lwowie.

Wśród polskich stowarzyszeń śpiewaczych krakowski Chór akademicki zajmuje bezsprzecznie poczesne miejsce. Chór ten, zawiązany przed 25 laty, utrzymuje dotąd tradycyę dobrze zespiewanego i pełnego temperamentu zespołu męskiego. W ostatnich kilku latach komisya artystyczna tego Chóru zwróciła baczniejszą uwagę na uprawianie pieśni ojczystej. Skutkiem tego poświęca się teraz Chór wykonywaniu przeważnie utworów chóralnych dawniejszych i współczesnych kompozytorów polskich. Przed trzema laty wykonano 3 akty z opery Wł. Żeleńskiego „Konrad Wallenrod“ staraniem Chóru, który kilkakrotnie brał także udział w przedstawieniach „Halki“, „Pajaców“, i „Rycerskości wieśniaczej“, jakie urządzał prof Marso ze swoją szkołą operową. Dalej staraniem tegoż Chóru odbywają się tzw. „Wieczory muzyki polskiej“, na których można słyszeć, obok znanych już arcydzieł, również utwory nieznane jeszcze najmłodszych twórców.

Dnia 10 marca b. r. krakowski Chór akademicki wystąpi we Lwowie w sali Filharmonii z własnym koncertem. Weźmie w nim udział 24 wybranych śpiewaków z pomiędzy 60, należących do Chóru. Wykonane zostaną na tym koncercie pod batutą długoletniego dyrygenta Chóru, p. Bolesława Wallek-Walewskiego, mało albo wcale nieznane we Lwowie utwory chóralne Żeleńskiego, Noskowskiego, Galla, Szopskiego, Walᵗera, Walewskiego i t. d.

W koncercie tym weźmie także udział znakomita polska pianistka, p. Klara Czop-Umlaufowa, kierowniczka Instytutu muzycznego w Krakowie. Wykona ona rzadko słyszane z estrady koncertowej utwory Różyckiego, Świerzyńskiego, Szymanowskiego i Borkowicówny.

Rycina nasza przedstawia sympatyczną drużynę śpiewaczą, której życzymy jaknajlepszego sukcesu artystycznego w stolicy kraju.



Śmierć rumuńskiego metropolity: Wyniesienie zwłok.

Maskarada w szpitalu dla obłąkanych.

Najstraszniejszą chorobą, bo utratą zdrowych zmysłów dotkniętych ludzi, traktowano do końca XVIII. wieku, jako nieuleczalnych i zamykano bez wszelkiej opieki lekarskiej albo po więzieniach, albo w oddzielnych przytułkach, gdzie furyatów przykuwano do murów ciężkimi łańcuchami. Dopiero za czasów wielkiej rewolucyi francuskiej udało się znakomitemu lekarzowi francuskiemu, Pinelowi, wyjednać u Konwentu, że w przytułku dla obłąkanych w Bicêtre, pod Paryżem, zdjęto tym nieszczęśliwym okowy. Za tym przykładem poszła reszta Europy.



Poświęcenie nowej fabryki w Krakowie: Uczestnicy uroczystości poświęcenia fabryki zeszytów przy wspólnem śniadaniu.



Tragiczna śmierć na obczyźnie: Książę Kazimierz Sapieha.



Śmierć rumuńskiego metropolity: Zwłoki metropolity wystawione w cerkwi katedralnej podczas nabożeństwa.

Od tego czasu leczenie chorób umysłowych poczyniło olbrzymie postępy a jego zasadą stało się jaknajłagodniejsze, najwięcej ludzkie obchodzenie się z chorymi. Zarząd każdego na sposób nowożytny urządzonego szpitala dla obłąkanych stara się, obok stosowania właściwej kuracyi, dla swych chorych o rozrywki odpowiednie, mogące dobrze na nich działać psychicznie. Do takich rozrywek należą koncerty, bale i w ogóle zabawy, w których biedni chorzy sami biorą czynny udział.

Rycina nasza przedstawia jedną z takich zabaw, a mianowicie podczas ubiegłego karnawału urządzoną maskaradę w rzymskim szpitalu dla obłąkanych. Zabawa ta, jak donoszą dzienniki rzymskie, powiodła się bardzo dobrze i miała wielce dodatni, uspokajający i orzeźwiający wpływ na umysły chorych, w tym szpitalu internowanych.

Śmierć rumuńskiego metropolity.

Jeśli królowi Karolowi udało się z kawałka półdzikiego kraju, gdzie potężni bojarzy lekceważyli sobie wszelkie prawa, a poczucie sprawiedliwości zniknęło wobec siły pięści, utworzyć dzisiejszą Rumunię, która szczyci się nazwą Francyi Wschodu, to ma to po większej części do zawdzięczenia miejscowemu duchowieństwu, a głównie zmarłemu niedawno metropolicie, Józefowi Gheorghianowi.

Kościół był i jest zawsze czynnikiem kulturalnym pierwszorzędnego znaczenia i pionierem cywilizacyi, jest on nauczycielem, wszczepiającym w serca wiernych pojęcia moralności, poszanowania ustaw i porządku społecznego, co musi się tylko dodatnio odbić na rozwoju dobrobytu i znaczenia kraju. Duchowieństwo rumuńskie pod rządami swego metropolity i patryarchy zajęło w Rumunii takie właśnie stanowisko, występując z jednej strony przeciw przemożnym bojarom w obronie władzy królewskiej, z drugiej strony, biorąc w obronę wyzyskiwany i ciemiężony lud, który pod jego dobroczynnym wpływem doszedł do uświadomienia i stał się z czasem czynnikiem potężnym, na którym oparła się powaga tronu i znaczenie kraju.



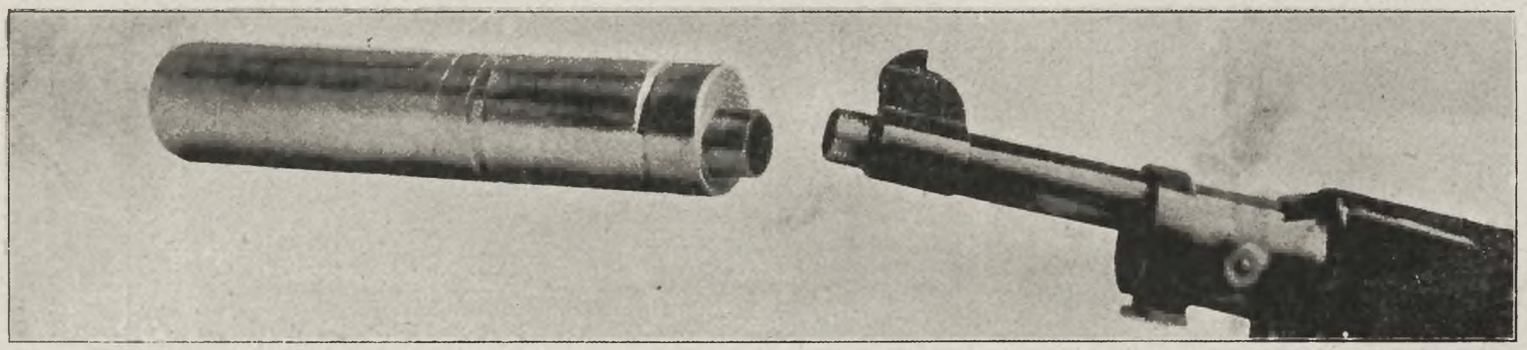
Ruch wolnościowy w Persyi: Szkoła kobiet w Teheranie.

Ta błogosławiona działalność zjednała osobie metropolity nadzwyczajne uznanie i sympatyę. Zmarły cieszył się wielkiem znaczeniem w całym kraju, nietylko jako szef krajowego kościoła, ale też i dla swych nadzwyczajnych osobistych przymiotów. Świadectwem tej ogólnej miłości był pogrzeb jego, który się odbył w Bukareszcie z końcem ubiegłego miesiąca. Roztoczono wspaniały przepych ceremonii wschodniego kościoła, a tysiące wiernych, którzy z najodleglejszych części kraju pospieszyli do Bukaresztu, aby oddać ostatnią posługę swemu arcypasterzowi, były najlepszym dowodem, że głoszone przez niego zasady znalazły w ich sercach grunt odpowiedni i uznanie. Według obowiązujących zwyczajów ciało zmarłego metropolity, przybrane we wspaniały ornat arcybiskupi, przeniesiono w uroczystym pochodzie z pałacu do katedry, gdzie się odbyło żałobne nabożeństwo. W czasie nabożeństwa, w którem w zastępstwie króla wziął udział następca tronu — ciało w pozycyi siedzącej spoczywało na tronie arcybiskupim, po ukończeniu modłów złożono je dopiero do trumny i pogrzebano.

Niebezpieczna broń.

Umysł ludzki wciąż się wysila, aby coraz więcej udoskonalać mordercze narzędzia, któremi jeden człowiek drugiemu może życie odbierać. Udoskonalenia te odbywają się równolegle w dwóch kierunkach: co do ulepszenia materyj wybuchowych i co do wydoskonalenia przyrządów do strzelania, a więc dział i karabinów. Obecnie w tym drugim kierunku, jak donoszą dzienniki angielskie, dokonał niesłychanie doniosłego wynalazku Hiram Percy Maxim, konstruktor karabinu maszynowego, dającego 500 strzałów na minutę, który zaprowadzony został w wielu armiach erupejskich, a między innemi także w armii austryacko-węgierskiej. Wynalazek ten polega na skonstruowaniu niewielkiego przyrządu, nazwanego przez wynalazcę *silencer*, od angielskiego *silence*, milczenie, co dałoby się przenieść na język polski przez wyraz „tłumik“. Ów tłumik przyśrubowany na końcu lufy, chwyta w swe wnętrze, wypełnione krzywemi płaszczyznami na kształt turbiny, gazy wydobywające się podczas strzału. Skutkiem tego gazy wydostają się wolno na zewnątrz bez huku, a karabin nie cofa się wcale.

Rzecz prosta, że wynalazek ten, powodujący za sobą konieczność pewnych zmian w konstrukcyi karabinu z powodu, że środek jego zostaje zmieniony, będzie musiał być jeszcze wybróbowany i wydoskonalony. W każdym razie jednak stanowi on ogromne ulepszenie broni palnej, która stanie się przez jego zastosowanie jeszcze niebezpieczniejszą, niż dotąd. Teraz już wydobywa się z niej minimalna ilość dymu, z powodu bezdymnego prochu a skutkiem wynalazku Maxima nawet huku nie będzie po strzale słychać.



Niebezpieczna broń: Karabin Maxima, wraz z tłumikiem jego wynalazku.



Niebezpieczna broń: Wynalazca Maxim, strzelający z karabina zaopatrzonego w tłumik.

Gość z dalekiego Wschodu w Wiedniu.

Myliłby się ten bardzo, ktoby sądził, że Japończycy, syci laurów zdobytych w ostatniej wojnie, spoczywają w bezczynności, gdyż nie ustają oni w ciągłem stosowaniu u siebie zdobyczy cywilizacyjnych rasy białej. Aby sobie tę pracę ułatwić, nieustannie informują się o postępach na polu nauk ścisłych, przemysłu, handlu, a wszczególności wojskowości i marynarki, jakie poczyniły narody europejskie i północni Amerykanie. Czynią zaś to z właściwą sobie dokładnością, która często przechodzi w pedanteryę. Doświadczenie jednak, jakie poczynili w ciągu lat przeszło czterdziestu, chroni ich od niewolniczego naśladownictwa.

Japończycy pomni są tego, że, przedewszystkiem dzięki na sposób zachodni zorganizowanym siłom lądowym i morskim, zawdzięczają wzrost potęgi swej ojczyzny, która jest obecnie ósmem mocarstwem świata. Starają się więc o to, aby ciągle udoskonalać swą siłę zbrojną. W tym celu wysyłają oni nieustannie oficerów różnych stopni i wysoko postawione osobistości do Europy, celem badania urządzeń wojskowych po rozmaitych państwach.

Jeden z takich wysłanników, któremu powierzonem zostało szczegółowe zapoznanie się z instytucyami militarnemi w Austro-Węgrzech i Niemczech, bawił cały ubiegły tydzień w Wiedniu. Jest nim kuzyn Mikada, książę Kunijoszi, którego podobiznę, w chwili, gdy wysiada z pojazdu cesarskiego, oddanego mu do dyspozycyi, podajemy w niniejszym numerze. Ks. Kunijoszi, bardzo inteligentny młody człowiek, interesował się żywo wszystkiem, co mu pokazywano w Wiedniu, a na odjezdnem został przyjęty przez cesarza na osobnem posłuchaniu.



Szczególny zwyczaj: Czarnogórcy całujący, po posłuchaniu nogę księcia Mikołaja.

ARNOLD GOLSWORTHY.

Krzyk w nocy.

(Ciąg dalszy).

„Między listami, które mi wręczono po wyjściu z długiej gorączki, znalazłem i odpowiedź adwokata, iż wszystkie potrzebne kroki przedsięwziął i przekonał się, iż pański ojciec posiadał znaczną fortunę.

„Składa się ona po większej części z nieruchomości i ziemi, pozostały jednak i duże kapitały, umieszczone w różnych przedsiębiorstwach. Według dosłownego brzmienia testamentu, pozostawia ojciec panu cały ten majątek bez żadnych warunków ani ograniczań.

„Dołączam panu adres biura spadkowego w Londynie, którego dyrektora znam osobiście; jeżeli zechce pan z nim porozumieć się, załatwi on wszystkie formalności bez wielkich wydatków i kłopotów. Podaję również adres adwokata w Peru, jest doktór Francisco Delgado, calle de la Coca, nr. 7, Lima; dodać jednak muszę, iż bardzo słabo włada on angielskim językiem“.

Wilfred przerwał na chwilę czytanie, przypominając sobie, iż z początku posądził Hammertona o wspólnictwo w zabójstwie. Sądził zawsze, iż ojciec nie posiada żadnego majątku i ani na chwilę nie przyszła mu do głowy myśl o spadku. Bez Hammertona możeby nigdy o nim nie dowiedział się. Prawdopodobnie wartość spadku została przeceniona, starzec jednak musiał oszczędzać, by zabezpieczyć przyszłość synowi i sobie spokój na stare lata. Wilfred nie mógł powstrzymać się od głębokiego westchnienia, na myśl o żałosnym końcu tych marzeń. Jak szczęśliwi mogli żyć razem po tak długiem rozłączeniu! Zaczął czytać dalej.

„Teraz wracam do opowiadania o sobie, a głównie o dziwnej przygodzie, jaka mnie spotkała. Przedewszystkiem mogę potwierdzić, iż osoba, którą spotkałem, udając się na dworzec, w czasie pobytu swego w Greenleafhurst, była istotnie drugą żoną pańskiego ojca. Przekonałem się, iż podejrzenie moje było słuszne, iż widziałem rzeczywiście panią Alliston. Obawiam się, by udział jej w tem strasznem nieszczęściu nie był większy, niż można przypuszczać. Wiedziałem zawsze, że jest zuchwała i pewna siebie, nie posądzałem jej jednak o to, czego na sobie doświadczyłem. O fakcie tym mogę mówić swobodnie, ponieważ ona niczem nie była dla pana, chyba przedmiotem wzgardy i powodem do żalu, iż nosiła pańskie nazwisko. Szczegóły całej tej historyi opowiem panu przy sposobności osobiście, narazie ograniczę się tylko do tego, iż kobieta ta dowiedziała się o mojem informowaniu policyi o niej i przekonała się, iż sam jej ponadto poszukuję, by wydobyć z niej nazwisko osoby podejrzewanej o morderstwo.

„Pani Alliston i jej wspólnik pod pretekstem dostarczenia mi wiadomości, jakich szukałem, zaciągnęli mnie podstępnie do spelunki, w której dwa razy starali się mnie zamordować. Z pomocą opatrzności wyrwałem się z ich rąk, odniosłem mimo to ranę, zadaną mi przez nią sztyletem. Rana ta, Bogu dzięki, nie była bardzo ciężka! Przeszło miesiąc leżałem w szpitalu w gorączce, spodziewam się jednak, iż wkrótce nie pozostanie po niej i śladu.

„W czasie choroby nie mogłem szukać pani Alliston, policya zaś miała odemnie tak słabe o niej informacye, iż nie mogła na podstawie ich nic zdziałać. Kobieta ta ukrywała się pod fałszywem nazwiskiem, i o ile zdaje mi się, żyła w przykrych warunkach materyalnych, które nie pozwalały jej nigdzie wyjechać. Z wycinku, który załączam, przekona się pan, iż przypuszczenia moje były słuszne. W chwili swej śmierci znajdowała się w zupełnej biedzie. Papier ... policya przysłała mi po wyzdrowieniu i z niego dopiero dowiedziałem się, iż umarła. Niech jej Bóg wybaczy wszystko!“

Wilfred na chwilę odłożył czytanie, zbyt bowiem czuł się podnieconym myślami, jakie mu się nasunęły. W całej tej tragedyi ulgą dla niego było, iż ojciec nie doczekał się haniebnej śmierci swej żony. Jaką ona mogła odegrać rolę w zabójstwie męża? Z listu Hammertona wnioskował, iż ona je inspirowała. Nieszczęśliwy nie mógł mieć innego nieprzyjaciela, choć dziwnem to jest, by z nienawiścią swą czekała tyle lat. Jeżeli zdecydowała się na jego zabójstwo, musiały wpłynąć na to jakieś nieznane pobudki. Teraz jednak umarła już i tak jak Hammerton czuł dla niej tylko litość. Wziął wycinek gazety i zaczął czytać:

„Pan Judson, koroner okręgowy, został zawiadomiony w ostatnią środę, iż jakaś nieznana kobieta umarła z głodu w odnajmowanym pokoju, w dzielnicy Farringdon-Road. Śledztwo odkryło, iż ona wynajęła ten pokój, oznajmiając zaraz, iż nie długo będzie go zajmowała. Nic o niej nie wiadomo, tylko lokatorka sąsiedniego pokoju słyszała od niej, iż była chórzystką w jakimś teatrze, mimo to nie zdołano dowiedzieć się jej nazwiska. Sekcya wykazała, iż suchoty sprowadziły śmierć, zwłaszcza, iż ciało było wyniszczone przez brak pożywienia.

„Ta smutna sprawa ma to znaczenie, iż policya przeglądając nieliczne rzeczy, pozostałe po zmarłej, znalazła między niemi kilka zabrudzonych kart wizytowych z nazwiskiem: Ryszard Alliston, Lima. Czytelnicy nasi przypominają sobie bezwątpienia, iż pan Ryszard Alliston był ofiarą zbrodni, znanej jako dramat z Greenleafhurst; był on w istocie zamordowany w tej gminie przez nieznanych ludzi, mniej więcej przed trzema miesiącami. Policya poszukiwała od pewnego czasu pani Alliston, podejrzewając ją o udział w tej zbrodni; odkrycie kawałka papieru, znalezionego w szufladzie stołu, okazuje, że to przypuszczenie nie było pozbawione pewnych podstaw. Papier ten zawiera część opowiadania, mającego być ostatnią spowiedzią, nieszczęśliwa jednak napisała zaledwie kilka słów, gdy ją opuściły siły. Dokument ten, pisany, ołówkiem brzmi: „To jest spowiedź Łucyi Alliston. Mieszkając w Peru, a następnie w Londynie bez przyjaciół, umierająca...“ Pismo stało się już nieczytelnem, słowo, umierająca, składa się z niewyraźnych zygzaków. Udział pani Alliston w zabójstwie jej męża pozostanie zapewne niewyjaśnionym, przez śmierć jej zaś śledztwo traci cenne ogniwo w łańcuchu zebranych dowodów“.

Jakąż rolę odegrała ona w tym dramacie? Pytał się siebie Wilfred po przeczytaniu tego tragicznego opowiadania. Należała do niego, lecz w jakim celu? Niemożliwe domyśleć się. Obecnie policya jeszcze dalej znajduje się od odkrycia istotnego zabójcy. Może jednak Hammerton ma jakie wyjaśnienie, pomyślał i zaczął czytać list dalej.

„Bardzo zdziwiłem się, dowiadując się z tego dziennika o śmierci pani Alliston. Podczas mego spotkania z nią, wydała mi się zupełnie zdrową i silną, widocznie jednak była tylko podniecona nerwowo i potem też wskutek depresyi siły prędzej ją opuściły. Policya nie skrywała przedemną swego zawodu, iż taki świadek wymknął się im z rąk (z przyzwyczajenia o żywych, czy umarłych mówią z jednakową obojętnością). Byliśmy pewni, iż ją wkrótce odnajdziemy, sam zaś przypuszczałem, iż dobrowolnie, pobudzona biedą, odda się policyi, okazała jednak silną wolę i do ostatniej chwili życia skrywała swój sekret.

„Z tego nie można wnioskować, by zaprzestano poszukiwania winnego, przeciwnie, urzędnicy policyi okazują w tej mierze niesłabnącą energię. Nie mogłem od nich dowiedzieć się nic nowego, spostrzegłem jednak, iż komunikują się stale z Greenleafhurst, i o ile nie mylę się, śledzą kogoś w miasteczku lub okolicy. Nie jest to jednak pewne, lecz oparte tylko na mych domysłach.

„Miałem zamiar początkowo wrócić do Peru po załatwieniu swych interesów, obecnie jednak skłaniam się do pozostania tutaj na stałe. Pragnąłbym zakończyć sprawy ze wspólnikiem swym w Limie bez udawania się tam, gdyż podróż ta byłaby dla mnie zbyt uciążliwa. Chętnie osiadłbym w Greenleafhurst lub w jakiem sąsiedniem miasteczku, to jednak postanowię dopiero później. Za tydzień będę w Londynie, w hotelu Granville, gdzie spędzę miesiąc. Jak tylko będę miał możność, przybędę do Greenleafhurst i skorzystam z pańskiej gościnności, jeżeli jednak miałby pan dzień wolny, z wielką radością ujrzałbym pana w Londynie. Proszę być przekonanym o mych najlepszych dla siebie uczuciach.

John Hammerton“.

Wilfred odłożył list z żywą radością, czując, iż stary jubiler okazał się obecnie nietylko największym przyjacielem jego ojca, ale i jego własnym. Nietylko, iż ponosił wydatki w tej sprawie, lecz i narażał własne życie! Chciał jechać natychmiast do niego, by uścisnąć szlachetną jego rękę, obowiązki jednak szkolne nie pozwalały mu marzyć nawet o tej podróży. Przypomniał sobie tutaj pierwszą część listu Hammertona: jeżeli wieść o spadku sprawdzi się, będzie mógł wtedy porzucić swe dotychczasowe zajęcia i zamienić rolę nauczyciela na ucznia, oddawna bowiem pragnął poświęcić się nauce.

Ponieważ zbliżał się czas nabożeństwa w kościele, ubrał się pospiesznie i wyszedł; wkrótce znalazł się też wśród zebranych wiernych. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę ławki sir Johna, nie było jednak ani baroneta, ani jego żony. Przez całe nabożeństwo ławka pozostawała pustą, co nigdy się nie zdarzało, gdy państwo Lesterham bawili w Greenleafhurst.

Wilfred nie zdolny dnia tego do modlitwy z powodu wzruszenia, jakiego doznał rano przy czytaniu listu, z trudnością doczekał końca kazania i błogosławieństwa księdza i pośpiesznie wyszedł z kościoła, by wrócić do siebie. Nagle uczuł, iż ktoś dotyka jego ramienia. Obrócił się i spostrzegł Joe Muskina.

— Ach, pan Muskin! — rzekł, starając się być uprzejmym. — Jak się pan ma, zapewnie dobrze? Gospodarstwo idzie pomyślnie? Do widzenia!

— Nie sądziłem, że panu tak się spieszy — odparł Joe — chciałem odbyć kawałek drogi z panem.

— Proszę bardzo, z wielką przyjemnością — odpowiedział Wilfred, skrywając swe niezadowolenie.

Przez kilka chwil szli w milczeniu; Wilfreda zaciekawiało, czemu miał przypisać tę serdeczność swego towarzysza. Wreszcie Joe zaczął mówić:

— Przypuszczałem, iż jeżeli pan nic nowego nie wie, to może chętnie posłucha pan tego, co powiem.

— Cóż takiego? — zapytał Wilfred zaintrygowany.

— Dramat ten interesuje mnie ciągle!

— O, tak, zapewne.

— Wie pan, obiad mój będzie dopiero za pół godziny, jeżeli więc pan pozwoli, odprowadzę pana, aż do domu, by opowiedzieć, jak go złapałem.

— Złapał pan! Kogo? — zawołał Wilfred zdziwiony.

— Jakto kogo? Zabójcę ma się rozumieć! — odparł Muskin — opowiedziałem już wszystko policyi i teraz już pewny jestem tych obiecanych dwustu funtów.

— Ależ na miłość Boga! Kogo pan o to obwinia?

— Pst! Na razie niech pan nikomu o tem nie mówi, jest to sir John Lesterham.

Wilfred cofnął się przerażony.

— Boże wielki! Co pan mówi?

— Tak, sam się dziwiłem temu — odparł Muskin. — Sam szedłem za śladem i policya jest mi bardzo wdzięczna za to, co zrobiłem. Wiele miałem trudów, może mi pan wierzyć.

— Ależ to niemożebne; jakiż interes mógł mieć sir John w śmierci mego ojca? Musiała zajść tu jakaś pomyłka.

— Ja jednak jestem pewny tego, co mówię — twierdził Muskin.

— Niech pan zajdzie do mnie i opowie mi całą historyę.

— W tym celu właśnie wyszedłem za panem. Sądziłem, że czas już powiedzieć panu, jak daleko zaszła ta sprawa, o której wkrótce całe miasto będzie wiedziało.

Wilfred wprowadził Muskina do swego pokoju i siadł naprzeciw niego.

— Teraz niech mi pan z łaski swej opowie, co pana wprowadziło na tę myśl?

— Dobrze! — odparł Muskin z pewną dumą, siadając wygodnie na kanapie. Zapewne przypomina pan sobie brylant, jaki pan znalazł w szopie?

— Tak, przypominam.

— Miał pan wtedy myśl, że brylant ten upadł na ziemię przed morderstwem, albo też w czasie dokonywania go.

— Był to mój domysł.

— Tak; dla mnie był to pierwszy krok naprzód. Gdy potem byłem u sir Johna, by zapłacić dzierżawę, spostrzegłem, iż przy dewizce nosi pierścionek z sześcioma kamieniami różnemi, brak jednak było w nim jednego kamienia. Znam takie pierścionki doskonale, gdyż jeden taki widziałem w mojej rodzinie: składa on się z sześciu kamieni: *ruby, emerald, garnet, amethyst, ruby, diamond*, których początkowe litery stanowią słowo *regard*, czyli poważanie. W pierścionku tym były wszystkie kamienie z wyjątkiem tylko jednego i to właśnie brylantu.

— I co dalej? — zapytał niecierpliwie Wilfred, gdyż Muskin zatrzymał się dla przekonania się o wrażeniu, jakie wywarł.

— Nie mogłem tutaj jeszcze nic przysięgać, założyłbym się jednak grubo, iż pan znalazł właśnie ten brylant, którego brak było w pierścionku. .

— Ależ to jeszcze niczego nie dowodzi — przerwał Wilfred. — Sir John mógł być przedtem w szopie i wówczas zgubił ten kamień.

— Oh, nie tak to łatwo wytłomaczyć — odparł Muskin drażniącym tonem. — Może to tak, a może i nie, dziwnem jednak jest, iż brylant ten nie został w takim razie wdeptany w ziemię, przez ludzi, którzy tam przychodzili. Słyszał pan, co mówiono na śledztwie o śladach stóp, nie będę się już nad tem zastanawiał, moje jednak wnioski wydały się policyi słusznymi.

— Czy pan powiedział, że ja znalazłem brylant?

— Tak, spodziewam się, że niema w tem nic złego?

— O, nie: dobrze pan zrobił. Lecz, czy to są wszystkie pańskie dowody? Jeżeli tak, to wydają mi się niedostatecznymi.

— Oh! To jeszcze nie wszystko — odparł Joe tryumfująco. — Przedewszystkiem wszedłem w stosunek ze stangretem sir Johna, który mi powiedział, że jego pan daje służbie swe stare rzeczy. Poprosiłem go, by mi odsprzedał jakie stare obuwie i istotnie dał mi do wyboru z pół tuzina par trzewików, z których wybrałem sobie jedną za kilka szylingów.

— No i co?

— Wtedy wziąłem te trzewiki i przymierzyłem je do śladów, które, jak pan pamięta, zachowałem u siebie; nadawały się one, jakby były wymierzone.

— Lecz — zaczął Wilfred...

— Niema już żadnego lecz. Stwierdzono, że ślad ten jest odciskiem stopy zabójcy, człowieka, którego policya poszukuje.

— Czy tak panu powiedziano w policyi?

— Niezupełnie tak, ale przyrzekli mi, że jeżeli dowód ten okaże się prawdziwym, to wręczą mi dwieście funtów.

— Czy sir John wie już co o tem?

— Zdaje mi się, że nie.

— W takim razie pan sądzi, iż policya go pilnuje.

— Nietylko sądzę, ale tak jest z pewnością. Polecili mi, bym o tem nikomu nie wspominał, ale to chyba nic złego, że panu powiedziałem.

— Kiedy pan zawiadomił policyę?

— Wczoraj rano. Naprzód chciałem samemu być pewnym i dopiero im powiedzieć, bo to nieprzyjemnie, gdyby kto inny za moje trudy miał schować do kieszeni nagrodę.

Wilfreda raziła bardzo ta chciwość młodego fermera, by zagarnąć pieniądze za cudzą wolność, mimo to uznał zaufanie, jakie on mu okazał i był mu za nie wdzięczny.

— Czy nie będzie pan o tem mówił już nikomu? — zapytał jeszcze Wilfred, gdy Muskin zbierał się do wyjścia.

— Nikt o tem nie będzie wiedział — odpowiedział żywo Joe. — Nie powinienem i panu o tem mówić, ale pan i tak dowiedziałby się wcześniej, czy później.

— Będę panu bardzo zobowiązany za zachowanie tego w sekrecie; może być pan pewny, iż nikomu w Greenleafhurst ani słowem nie dam poznać.

— I ja również! Jeszcze nie otrzymałem nagrody, a w takich sprawach nigdy się nie jest zbyt roztropnym. Muszę jednak już iść.

— Do widzenia — odrzekł Wilfred — jeszcze raz panu dziękuję.

Po wyjściu Muskina Wilfred zastanawiał się nad usłyszanem oskarżeniem, mimo jednak wszystkich dowodów, wydawało się mu ono mało prawdopodobnem. Jakiż cel mógł mieć sir John Lesterham w zabijaniu jego ojca. Baronet był jednym z najmilszych i najsympatyczniejszych ludzi, jakich znał: dawniej byli prawie przyjaciółmi; stosunki ich były bardzo serdeczne, aż do ostatnich czasów, aż do...

Boże wielki! Wilfred aż wstrząsł się na myśl, jaka mu się nasunęła. Od pewnego czasu sir John okazywał się bardzo zimnym względem niego. Przypisywał to wpływowi lady Lesterham, która czuła wstręt do stosunków z plebejuszami, lecz można przypuścić, iż niedawna wyniosłość baroneta pochodziła i z naturalnego obrzydzenia do zachowania znajomości z synem ofiary. Przypomniało mu się, iż sir John przyrzekł mu po śledztwie odwiedzić go i poinformować, jak daleko posunęła się sprawa, słowa jednak swego nie dotrzymał.

Miotany temi posądzeniami młody nauczyciel chodził szybko, nerwowo po pokoju, wyrzucając sobie podobne myśli. Przez uszanowanie dla sir Johna nie chciał w nie wierzyć, przez miłość dla jego córki starał się wybić je sobie z głowy, gdy nagle ujrzał przez okno, jak dwóch policyantów zatrzymuje się przed jego domem. Jeden z nich skierował się przez ogródek do drzwi. Wilfred wyszedł na jego spotkanie.

— Pan Wilfred Alliston? — zapytał grzecznie.

— Tak jest; czem mogę?...

— Chciałbym z panem przez chwilę porozmawiać na osobności.

— Proszę bardzo do środka.

Po chwili sierżant policyi mówił:



— Bardzo chętnie — odparł Wilfred, przebiegając oczami ten dokument.

— Według naszych informacyi, odnoszących się do zbrodni, jaka została spełniona w gminie tego lata, pan znalazł w szopie brylant lub coś do niego podobnego?

— Tak — odpowiedział Wilfred.

— Oto nakaz — mówił dalej sierżant, podając mu papier — na mocy którego winien pan wręczyć mi ten przedmiot.

— Bardzo chętnie — odparł Wilfred, przebiegając oczami ten dokument, którego ze wzruszenia nie mógł pojąć i wyciągnął z szuflady stołu brylant starannie zawinięty. — Oto jest.

— W tej chwili dam pokwitowanie; jeżeli nie będzie można znaleźć jego właściciela, na żądanie będzie on panu zwrócony.

Napisał kwit i wręczył go nauczycielowi.

— Czy pan niema zamiaru w tych czasach wyjeżdżać z Greenleafhurst?

— Ja? Nie — rzekł Wilfred, zaintrygowany tem zapytaniem. — Chcę istotnie wyjechać do Londynu, ale tylko na jeden dzień.

— Dziękuję panu; bardzo możliwe, iż potrzebna nam będzie pańska pomoc i dlatego zadałem panu to pytanie.

— Czy panowie znaleźli już jaki ślad? Na kogo padają podejrzenia?

— Żałuję bardzo, lecz nie mogę dać żadnych wyjaśnień; dziękuję bardzo i żegnam.

Wilfred odprowadził sierżanta aż do drzwi i widział, jak odszedł ze swym towarzyszem.

XI.

Resztę dnia młody nauczyciel spędził w dziwnej niepewności. W żaden sposób nie mógł uwierzyć w winę sir Johna: baronet i jego ojciec nie znali się wcale, ani nigdy nie widzieli, przynajmniej on nic o tem nie wiedział. Oskarżenie to wydało mu się bezpodstawnem. Czuł, iż musi przyjąć energiczniejszy udział w poszukiwaniach, by wykazać, iż sir John stał się ofiarą niesłusznych podejrzeń. Świadectwo Muskina łatwo obalić, choć policya, zdaje się przypisywać mu wielką wagę. Czyżby detektywi znaleźli jeszcze inne dowody na niekorzyść baroneta? Wilfred w oszołomieniu schwycił się beznadziejnie rękami za głowę, starając się dojść do jakiegoś pozytywnego wniosku. Ze słów sierżanta wywnioskował, iż będzie powołany na świadka i może zmuszony będzie powiedzieć nietylko to, co wie, ale i to, co myśli. Chce obronić sir Johna, ale z drugiej strony przed oczami jego stanął widok umierającego ojca, którego śmierć winna być pomszczona. Jeżeli wszystkie podejrzenia skierowują się przeciw baronetowi, czyż on jeden ma się nie przyłączyć do oskarżenia i nie pomścić pamięci ojca na istotnym winowajcy. Znienawidzi go miss Lesterham, będzie nim pogardzała, lecz miłość dla ojca winna być silniejsza!

Z silnym bólem głowy obudził się na drugi dzień i z trudem tylko odbył swe szkolne zajęcia. Z ulgą też żegnał się tym razem ze swymi uczniami i zamykał już szkołę, gdy usłyszał na drodze jakiś turkot, który ucichł przed jego domem. Pobudzony ciekawością wyjrzał do ogrodu i ujrzał pod drzwiami Hammertona. Wybiegł szybko do niego i serdecznie go powitał.

— Oto miła niespodzianka; sądziłem z listu, iż pan dopiero za tydzień będzie w Londynie i chciałem wtedy do pana wybrać się.

— Zaoszczędziłem panu w takim razie trudów podróży — odrzekł Hammerton z uśmiechem. — Po przeczytaniu porannych dzienników zmieniłem swe postanowienie; opuściłem zaraz Bournemouth i przybyłem tutaj; zająłem pokój w hotelu Kolejowym i kazałem wieźć się do pana.

— Ale panu nie spieszno odjechać, spodziewam się?

— O, nie; wynająłem powóz na cały wieczór i chcę z panem porozmawiać — rzekł jubiler.

Przy słowach tych wyszedł z powozu i szedł razem z Wilfredem do szkoły. Mimo, iż opierał się na lasce i twarz jego była bledszą, niż poprzednim razem, zdawał się być już zupełnie wyleczonym ze swej rany.

Gdy zasiedli w gabinecie przy kominku, Wilfred przysunął swe krzesło do gościa i zapytał:

— Czy zechce mi pan opowiedzieć o tym zamachu na siebie? Obawiam się, czy to nie było zbyt niebezpieczne.

— Teraz już się to wszystko skończyło — rzekł z uśmiechem Hammerton — nie starczyłoby jednak tego wieczoru, by panu wszystko opowiedzieć. Poczekamy z tem, aż pan do mnie przybędzie, na razie chciałbym sam się dowiedzieć, co pan ma nowego.

— Aż do otrzymania wczoraj rano pańskiego listu o niczem nie wiedziałem, potem jednak otrzymałem niezwykłe wieści.

— Domyślałem się tego; przeczytałem w dziennikach, że policya śledzi kogoś i że zamierza przedsięwziąć aresztowanie. Dlatego też nie tracąc ani chwili czasu przybyłem do pana; czy pan zna te nowe ślady?

— Z przykrością muszę powiedzieć, iż policya podejrzewa sir Johna Lesterhama, właściciela zamku.

— Właściciela zamku? — powtórzył, jak echo, Hammerton. — To istotnie niezwykłe. Cóż sir Lesterham, może mieć wspólnego z tą sprawą?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Armia serbska w polu.

Oczy całej Europy zwrócone są teraz na Serbię, która swem zachowaniem wprawia ją w niemały kłopot. Wprawdzie przypuszczać można, że dyplomacyi mocarstw uda się w jakiś sposób zażegnać konflikt serbsko-austryacki, mogący pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwa, to jednak do tej chwili sytuacya jest mocno naprężona.

W takim stanie rzeczy powszechne zainteresowanie budzą siły zbrojne obu przeciwników, którym będzie ewentualnie danem zmierzyć się nad Dunajem i Driną. W dalszym więc ciągu rycin, odnoszących się do armii serbskiej, podajemy w niniejszym numerze zdjęcie fotograficzne z kierownictwa ostanich wielkich manewrów serbskich. Widzimy na tem zdjęciu w pośrodku króla Piotra na koniu z podniesioną ręką, na przodzie zaś, po prawej stronie, stojącego pieszo następcę tronu, księcia Jerzego, o którym dziś tak głośno na świecie.

Gdyby o wartości armii serbskiej można było sądzić tylko po przechwałkach, gadatliwości i nieustannem brzękaniu szablą jej oficerów, byłaby ona przeciwnikiem nie do lekceważenia. Znawcy jedn k stosunków serbskich twierdza, że dzisiejsza armia serbską nie różni się na jotę od tej, która tak haniebną poniosła porażkę od Bułgarów dwadzieścia cztery lat temu.



Armia serbska w polu: Król Piotr (pośrodku konno) i następca tronu ks. Jerzy (po prawej stronie pieszo) podczas manewrów.

Przesilenie ministeryalne.

(Do illustracyi na str. 4.)

Z chwilą zamknięcia austryackiej Rady Państwa i rekonstrukcyi gabinetu bar. Bienertha, rozpoczęła się walka Koła Polskiego przeciw ministrowi dla Galicyi. Minister Abrahamowicz otrzymał od komisyi parlamentarnej Koła votum nieufności na piśmie. Przedstawiciele Koła zawiadomili o fakcie dokonanym bar. Bienertha na posłuchaniu, które odbyło się już po dokonaniu rekonstrukcyi gabinetu. Ustąpienie Abrahamowicza stało się więc koniecznością, wysnutą z praktyki politycznego życia.

Komisya parlamentarna zarzuca ministrowi dla Galicyi, że nie informował jej o poszczególnych stadyach przesilenia gabinetowego. Pokazało się, że Koło nie wiedziało nic o zamiarach i krokach rządu, w którym zasiadał Abrahamowicz. Rekonstrukcya gabinetu Bienertha odbyła się bez Koła, poza plecami jego komisyi parlamentarnej, pomimo, iż urzędowała ona na miejscu w permanencyi. Doszło do tego, że do nowego gabinetu weszli dwaj członkowie Koła, które ani z ich strony, ani ze strony rządu, nie było pytane o zdanie i opinię. Bar. Bienerth odłożył konferencyę z komisyą parlamentarną Koła z pierwotnie wyznaczonego terminu o godz. 11 w południe (10 lutego) na godzinę 3-cią po południu, gd.ż przedtem chciał uzyskać aprobatę Korony dla nowego gabinetu, aby Kołu polskiemu podać jedynie do wiadomości fakt dokonany.

Koło uczyniło z tego zarzut premierowi, ale samego faktu utworzenia nowego rządu bez swej wiedzy i udziału unicestwić już nie mogło. Ktoś musiał paść ofiarą tej procedury, uwłaczającej powadze Koła. Tym mężem był eksc. Abrahamowicz, który powołany z łona Koła na doradcę Korony, powinien był wtajemniczyć prezydyum, czy też komisyę parlamentarną, w tok spraw, rozgrywających się w Radzie ministrów. Dlatego też komisya parlamentarna Koła posłała mu na piśmie wyrazy nieufności, salwując w ten sposób powagę Koła, nadwerężoną przez to wszystko, co działo się bez niego i poza niem. P. Abrahamowicz nie miał ochoty ustąpienia, odpisał też Kołu, że nie jest on ministrem pojedynczego jakiegoś stronnictwa, ale c. k. ministrem dla Galicyi, powołanym przez monarchę, to też ani myśli ustępować gdy się jedno stronnictwo czuje obrażonem, w rezultacie jednak, gdy cała opinia publiczna zwróciła się przeciw niemu, zdecydował się wręczyć prezydentowi swą dymisyę.

Pan Abrahamowicz, jako konserwatysta czystej wody, nigdy, nie objawiał intencyi reprezentowania tego politycznego kierunku, jaki obecnie panuje w Kole ze względu na jego skład i program. Powołanie go też na stanowisko ministra dla Galicyi, uważane było już od pierwszej chwili za anachronizm.

Kto obejmie agendy po Abrahamowiczu, dotąd niewiadomo, najsilniejszym kandydatem jest Dr. Władysław Dulęba, prócz niego wymieniają Dra Germana, Kozłowskiego i innych. W ogóle, nie brakuje amatorów na opróżnioną posadę ministra-rodaka, na której można coś zdziałać dla Galicyi, ale trzeba do tego dużo dobrej woli i energii.



Fot. M. Münz Lwów.

Zgon wybitnego polityka: Pogrzeb ś. p. Leonarda Piętaka we Lwowie.

Kronika tygodniowa.

(Serbowie, przesilenie ministeryalne i krakowscy rzeźnicy. — Podwyższenie cen mięsa. — Skok na fotel ministeryalny. — Kto będzie ministrem i czego się możemy spodziewać po nowej sesyi? — O sytuacyi zewnętrznej — Czy będzie wojna? — Zwycięstwo Polaków w Prusach. — Stosunki czesko-polskie).

Przeżyliśmy szczęśliwie ubiegły tydzień, w niezbyt jednak przyjemnem usposobieniu, jak to przysłowie powiada, „jak mysz na pudle“, oczekując i rozglądając się w okół, skąd nam grozi jakie niebezpieczeństwo. A znaleźliśmy się w nielada trudnem położeniu, gdyż musimy mieć się na baczności przed wspólnym austryacko-węgierskim wrogiem na Bałkanach, który ciągle straszy i straszy, i dużo krzyczy, coś jak ów pies głośno szczekający, a dający mało mleka, powtóre, mamy głowę zaprzątniętą przesileniem ministeryalno-galicyjskiem w Wiedniu, bo tu już więcej chodzi o naszą skórę, a wreszcie zabieramy się do najniebezpieczniejszego, bo wewnętrznego wroga, który sprzysiągł się na naszą zagładę. Z Serbami przy pomocy Mannlicherów i Uchatiusów porozumienie bardzo możliwe, na dodatek kilka słodkich obietnic zrobi swoje, parę koncesyjek, ostatecznie może i parę milionów poprą sprawę na właściwe tory. Przesilenie ministeryalne w Wiedniu również sytuacyi bardzo nie zmieni, Koło Polskie będzie jednakowo skrzypieć jak dotąd, choć wysoki Rząd je, jak może obietnicami smaruje (ale to smarowidło, jak wogóle i inna wiedeńska tandeta, okazało się bezwartościowem), więc i ta okoliczność snu spokojnego odbierać nam nie powinna. Czy ministrem jest Abrahamowicz, czy Dulęba, czy rozdwojony Stapiński, czy skoncentrowany German, kanały będą, skoro tylko nadejdą ich plany, zamówione w drodze urzędowej z Marsa. Najgorszym jest jednak ów wróg bezpośredni, który dobiera się wprost do naszych kiszek i żołądków i postanowił nas wygłodzić, aby wywatować banknotami swe kieszenie i zrobić miejsce dla nowego pokolenia, które po nas obejmie ziemię i rządy na niej nad wszelakimi czworonogami.

Mam tu na myśli zamach, jaki uczynili krakowscy rzeźnicy wieprzowego rodzaju, podnosząc o trzydzieści procent ceny różnych świńskich delikatesów, które stanowią przecież jeden z najważniejszych artykułów spożywczych klasy średniej i ubogiej, najbardziej też grożą ich kieszeniom. Gdy ze Lwowa rozeszła się wieść po świecie, że rzeźnicy bez niczyjej interwencyi zniżyli ceny cielęciny, ogarnął cały świat nadzwyczajny podziw dla tak patryotycznego kroku majstrów lwowskich, wspominano o owych świetnych tradycyach lwowskiego mieszczaństwa i wierzono ogólnie, że sytuacya w Europie została uratowana. Tymczasem krakowscy rzeźnicy pozazdrościli laurów swym wołowo-cielęcym kolegom lwowskim i postąpili wprost przeciwnie. Z dniem 1 marca, gdy we Lwowie cielęcina spadła, w Krakowie wieprzowina poszła do góry, nic też dziwnego, że odtąd galicyjskie świnie nabrały rezonu widząc, w jakiej są cenie i wartości, noszą też z dumą głowy do góry, jako jedynie przez rząd szanowane zwierzęta i z jego łaskawości opatrzone przecież kolczykami, które dotąd stanowiły tylko ozdobę rodzaju ludzkiego.

Całe szczęście, że ów zamach panów rzeźników na nasze życie miał miejsce właśnie z początkiem wielkiego postu, kiedy to i według przepisów kościelnych i z konieczności po wydatkach karnawałowych przestajemy być mięsożercami, a stajemy się przeważnie jaroszami, kontentującymi się herbatką i suchą bułeczką. Zwolna odzwyczaimy się od świńskich delikatesów, a wtedy panom majstrom zmięknie rura i może raz przyjdzie na nich wielki post, na który oni nas ciągle skazują. Tłumaczą się majstrowie, że ceny poszły w górę; w każdym razie nie w tym stosunku, co podwyżka ich wyrobów, a zresztą utarty to już zwyczaj, że ile razy cena nierogacizny się podniesie, podnoszą masarze ceny swych wyrobów, gdy jednak ceny opadną, oni z reguły o tem zapominają. Zupełnie tak samo rzecz dzieje się z cenami zboża i wielkością pieczywa. Od lat kilkunastu ceny zboża ulegały kilkudziesięciokrotnym wahaniom, wielkość bułek odpowiadała zawsze cenom z czasu największej drożyzny.

A panowie rzeźnicy i piekarze płaczą i narzekają, że im się źle dzieje, że magistrat nie otacza ich należytą opieką i pozwala na konkurencyę, jak oni nazywają „nieczystą“, uniemożliwiającą im wyzysk społeczeństwa. Solą w oku jest dla nich Towarzystwo urzędnicze, które we własnym zarządzie sprzedaje mięso, aby urzędnik nie zapomniał, jaki smak ma wołowina lub cielęcina — radziby byli, aby trzęsienie ziemi usunęło z widowni publicznej Piaski koło Podgórza, skąd także wielka ilość mięsa po cenach umiarkowańszych dostaje się do Krakowa i umożliwia średnim klasom, bodaj raz lub dwa razy w tygodniu zabawić się w mięsożerców. Dotąd trudność posilenia się wołowiną, która dostępną jest tylko dla bogaczy, zastępowano wędlinami, odtąd stanie się i to niemożliwem, funt kiełbasy krajanej otrzymać może, co najwyżej, przełożony w dniu swego trzydziestoletniego jubileuszu służbowego, jako składkowy prezent od podwładnych urzędników!

W drugiej sprawie, t. j. w kwestyi obsadzenia fotelu ministeryalnego po ś. p. Abrahamowiczu, który postanowił póty siedzieć, póki go nie wyrzucą, nie jestem jako kronikarz krakowski wcale kompetentny, gdyż nie mam sposobności oglądania naszych słońc politycznych, z którychby bodaj jeden jasny promień spłynął na moją maluczkość. Z krakowskich rzeźników i piekarzy nic sobie nie robię, bo choćby się na mnie pogniewali i odmówili mi mięsa i pieczywa na kredyt, to i tak nie potrafią mnie wyruszyć z równowagi, albowiem, *primo*, w wielkim poście mięsa jem bardzo mało i wtedy tylko, gdy mam pieniądze (a tych mi, jak każdemu politykowi, zawsze brakuje), *secundo*, bułek ani chleba nie jadam, gdyż wedle zgodnego orzeczenia wybitnych powag lekarskich, jest w nich za dużo mąki, a ta mi szkodzi. Z ministrami wolę nie zadzierać, aby mieć gotowe plecy: kto tam zasiędzie na fotelu, może mi kiedyś podać dłoń pomocną, skoro strudzony wiekiem z poszarpanemi siłami ciała i ducha, zapragnę usunąć się w zacisze domowego ogniska, które, aby nie zgasło należy podsycać, ku czemu znowu znakomicie nadaje się jakaś niewinna koncesyjka, jakiś maleńki szweiggeldzik. A płyną one dość obficie od strony Wiednia, choć dotąd niema kanałów, to jednakże smutne, iż zwykle wsiąkają tam, gdzie ich nie potrzeba.

Gdyby ktoś postawił mi pytanie, kto też obejmie tron galicyjski w Wiedniu, byłbym w wielkim kłopocie, aczkolwiek bowiem śledzę bacznie z obowiązku bieg polityki państwowej, w tym wypadku wewnętrznej, nie potrafiłbym powiedzieć, czy będzie nim Dulęba, czy Głąbiński, Kozłowski, czy German, wiem nawet, że i Stapiński i Daszyński nie obraziliby się wcale, gdyby im tekę zaproponowano.

Kto jednak ciekawy, łaskawie zatrzymać się zechce jeszcze kilka dni cierpliwie, a dowie się stanowczo z komunikatu urzędowej gazety wiedeńskiej, w której z całą urzędową pewnością ogłasza się nominacyę ministrów, kuratele nad głupkowatymi, licytacye na stare żelazo i konkursy na woźnych. Do dnia dziesiątego (b. m.) musi to nastąpić, aby pan Bienerth, otwierając znowu sesyę Rady państwa, miał już swój gabinet kompletnie umeblowany.

Ciekawe będzie to otwarcie, po którem jeszcze prędzej nastąpi zamknięcie, gdyż niema wcale nadziei, aby bar. Bienerthowi udało się uzyskać potrzebną w parlamencie większość dwóch trzecich, na której mógłby polegać i przy jej pomocy przeprowadzić konieczności państwowe, t. j. kontyngent rekruta i przedłożenie o aneksyi i powszechnem ubezpieczeniu. Radziłbym panu Bienerthowi, aby do programu swego przyjął przedłożenie o dożywotności mandatów poselskich i dziedziczności dyet w linii niechby już tylko męskiej, a za jednym zamachem uzyska absolutną większość, przy pomocy której będzie mógł rządzić spokojnie nawet do skończenia świata (jak wiadomo koniec świata odłożony na rok 1912, chyba... gdyby znów coś wypadło).

Najgorzej jednak przedstawia się sytuacya zewnętrzna, jak to zresztą Szanowni Czytelnicy łatwo przekonają się sami z kilku tytułów artykułów politycznych, jakie zebrałem w ostatnich dniach. *Na wulkanie! Między pokojem a wojną! Na ostrzu miecza! Sytuacya wyjaśnia się! Pogróżki wojenne! Co jutro przyniesie! Niebo się rozchmurza!* Obecnie polityczni gazeciarze, mając już gotowe telegramy z biura korespondencyjnego, wysyłają sobie głowy na kwieciste tytuły, które mają stanowić okrasę mdłej treści. Z zestawienia onych każdy przeciętny c. k. Galicyanin przekonuje się, że jednego dnia mamy wojnę, następnego znów pokój, w miarę tego, jakiego wiatru potrzeba na giełdzie, aby bankierzy wiedeńscy mogli należycie uregulować swe finansowe interesy. To jedno jest pewnem, że dzięki swej awanturniczej polityce Serbia stanęła nad przepaścią i znajduje się w nader opłakanem położeniu: ubóstwo, głód, choroby, nie wpłynęły dotąd na księcia Jerzego, potrząsa ciągle butnie szabelką, nie pomnąc, że prowadzi kraj, który niby tak kocha, do stanowczej ruiny.

Do ostudzenia zamiarów wojennych przyczyniło się w wielkiej mierze, iż Rosya zgodziła się wespół z innemi mocarstwami poczynić w Belgradzie przyjazne przedstawienia, których celem ma być nakłonienie rządu serbskiego, by zrzekł się myśli uzyskania rekompensaty terytoryalnej i zamechał zbrojeń. Król bułgarski Ferdynand uzyskał uznanie swej godności na dworze petersburskim, wobec tego i Turcya nie będzie robić teraz nadzwyczajnych obstrukcyi i okaże się skłonniejszą do zgody, zwłaszcza, że potrzeba jej także pieniędzy. Bojkot towarów austryackich ustał już zupełnie, wobec podpisania umowy austryacko-tureckiej, jedna więc tylko Serbia mąci spokój, a lekko sekunduje jej w tem Czarnogóra. Miejmy więc nadzieję, że obejdzie się bez rozlewu krwi. Serbię wysypiemy Zacherlinem, wyginą wojenne miazmaty i nastanie błogi spokój, dozwalający mocarstwom, aby oddały się nowym zbrojeniom i rozmyślaniom nad wynalazkami w dziedzinie aerotechniki, karabinów maszynowych i innych pokojowych zabawek.

Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym choć w kilku słowach nie wspomniał o naszych poczciwych Prusakach. Ostatnich kilka kronik wolnych było od tego plugastwa, obecnie jednak nadarza się sposobność, aby podnieść, że w państwie dobrych obyczajów i bojaźni Bożej po raz pierwszy potrafiono uchwalić uczciwą i sprawiedliwą ustawę. W całych Niemczech ogromne wrażenie wywarła wiadomość, że parlament, rzecz od wielu lat niesłychana, uchwalił wniosek Polaków, zgłoszony w sprawie obrony praw obywatelskich poddanych narodowości polskiej. Był to wniosek posła Brandysa i towarzyszy o wolność nabywania własności prywatnej. W trzeciem czytaniu uchwalono go 189 głosami przeciw 132, a rezultat ławy polskie i centrum przyjęły burzliwymi oklaskami, prawica niemiecka mruczeniem i okrzykami zgrozy. Cieszyć się przedwcześnie nie należy, gdyż wniosek musi uzyskać jeszcze aprobatę Rady Związkowej, a tam mu zapewne kark ukręcą, jest to już jednak dobry znak na początek i nadzieja na przyszłość, że usiłowania naszych uciśnionych przez Prusaka braci, zyskają sobie poparcie i u szlachetnie myślących Niemców, którzy oburzeni są szykanami, na jakie Polacy narażeni są ze strony *prosiaczego* rządu.

Jeśli nie gorzej, to wcale przecież nie lepiej dzieje się Polakom na Śląsku, ze strony naszych kochanych braci (?!) Czechów. Napady Niemców na Polaków uważać musimy za coś naturalnego, jest to objaw ścierania się, ze sobą dwu wrogo wobec siebie usposobionych szczepów, a jeśli walka ta ze strony Niemców przechodzi czasem granice przez etykę wyznaczone, to jest to następstwem pruskiej buty i arogancyi, która kiedyś uzyska odpowiednią nagrodę! Ale, aby Czech, który głośno mieni się być Słowianinem, gnębił każdego innego Słowianina, np. Polaka, jak to widzimy na Śląsku austryackim, to już jest najzwyklejsze świństwo i jako takie zasługuje na bezwzględne napiętnowanie i potępienie. Panowie Czesi, którzy na zjazdach słowiańskich mają takie szerokie serca, poza zjazdami pokazują, że mają nadto długie ręce i radziby całą Słowiańszczyznę zagarnąć i przycisnąć do swego czułego serca, aby potem jej stamtąd już nie puścić, ale ssać ją tak, jak ssają Polaków na Śląsku i Morawach. Sprawa ta potrzebuje publicznego wyklarowania, powinien się znaleźć kiedyś jaki odważny polityk, i gdy Czesi zaczną się chwalić swymi afektami względem Polaków, bluznąć im w oczy słowa gorzkiej prawdy! Czekajmy na sposobność, a tymczasem, gdy walczymy z Niemcami, walczmy i z Czechami, skoro oni tak są nam przyjaźni, pamiętni, że od Czechów nigdy dotąd nic dobrego nie zaznaliśmy, a najgorszymi naszymi wrogami byli właśnie owi Wencliczki i Precliczki, którzy po zajęciu Galicyi przez Austryę, zjechali do naszego biednego kraju, jako pionierowie zachodniej cywilizacyi!

Zastosujmy i do niby-braci Czechów zasadę: „Kochajmy się! Nie dajmy się!“ *X.*

Wzlot Wilbura Wrighta w Pau wobec króla Alfonsa.

Próby wzlotu aeroplanu (statku cięższego od powietrza) Wilbura Wrighta w Pau, w południowej Francyi, cieszą się coraz większem uznaniem znawców i prasy, każdy dzień, jest świeżym tryumfem dla amerykańskiego wynalazcy. Obecnie zajmują się obaj bracia wyszkoleniem całego zastępu żeglarzy napowietrznych w manipulowaniu urządzeniem i kierowaniu aeroplanami, do czego zobowiązuje ich kontrakt, jaki zawarł z nimi rząd francuski. Jednym z głównych zarzutów, jakie się robi systemowi braci Wright, jest okoliczność, że w przeciwieństwie do aparatów Voisina, do obsługi aeroplanu Wrightowskiego mogą być użyci tylko ludzie bardzo zręczni, o nader wyrobionych mięśniach i nadzwyczajnej przytomności umysłu. Dotąd udało się Wrightom wyszkolić już należycie kilku uczniów, którzy potrafią samodzielnie dokonywać wzlotów i dłuższy czas manewrować w powietrzu, nie jest więc tak źle, jak głoszą przeciwnicy. Z pomiędzy uczniów szkoły Wilbura Wrighta w Pau, trzech, mianowicie: hr. Lambert, Tissandier i kapitan Gerardville, doskonale kierują aeroplanem. Dlatego Wright przystąpił już do budowy drugiego statku, przeznaczonego dla nich, do prób wzlotów.

W Pau znajduje się obszerny aerodrom, na którym odbywają się ciągle próby.



Wzlot Wilbura Wrighta w Pau wobec króla Alfonsa: W. Wright objaśniający króla Alfonsa.

Z końcem ubiegłego tygodnia przybył do Pau król Alfons hiszpański, aby osobiście przekonać się o postępach napowietrznej techniki. Do Biarritz przyjechał król automobilem, stamtąd zaś udał się do Pau, gdzie go przyjęli obaj bracia wynalazcy, Orville i Wilbur, oraz ich siostra Katarzyna. Król obejrzał dokładnie wszystkie urządzenia, poczem wobec niego dokonał Wilbur Wright wzlotu, wznosząc się do pewnej wysokości, na której zupełnie swobodnie manewrował w oczach królewskich przez dwadzieścia ośm minut. Po opuszczeniu się statku na ziemię, zajął król miejsce w aeroplanie obok Wilbura Wrighta i rozpytywał się szczegółowo o najmniejsze drobnostki, okazując wielkie zainteresowanie dla nowego wynalazku, jak również żal, iż racya stanu nie pozwala mu na wzięcie udziału w próbie wzlotu. Po dłuższym pobycie w Pau, w czasie którego rozmawiał król nader serdecznie z obu braćmi i obecnymi gośćmi, wyraziwszy się z ogromnem uznaniem o znaczeniu tego wynalazku, powrócił król do Biarritz, a stamtąd do Hiszpanii.

Illustracye nasze przedstawiają aeroplan, szybujący ponad polem wzlotu w Pau, oraz króla wraz z braćmi, w czasie udzielania przez tychże wskazówek.



Wzlot Wilbura Wrighta w Pau wobec króla Alfonsa: W. Wright w aeroplanie ponad błoniami w Pau.

Na ulicach Konstantynopola.

(Do illustracyi na str. 4.)

Niema to jak życie pod gorącem i pogodnem niebem Wschodu, gdzie ludzie nie krępują się konwenansami i urządzają się jak im najwygodniej! Wiele z takich czynności, które u nas muszą być załatwiane pod dachem, jest tam załatwianych na ulicy. Unika się przez to nieraz zaduchu i gorąca a zyskuje na czasie.

Przypatrzmy się n. p. na naszą rycinę. Na jednej z ulic Konstantynopola, na której rozłożyste platany użyczają miłego cienia, rozstasował się ze swą „oficyną“ Grek, uliczny balwierz. Przechodnie siadają na przygotowanych stołkach, a usłużni jego pomocnicy zabierają się natychmiast do operacyi. Nie płacąc wysokiego czynszu za lokal, może ten balwierz pobierać bardzo skromne wynagrodzenie za swe „zabiegi“, dostępne dla kieszeni najuboższego nawet prawowiernego wyznawcy proroka lub niewiernego giaura.

Szkoda, że ze względu na klimat i zwyczaje, a przedewszystkiem możliwe wkroczenie władzy bezpieczeństwa, *vulgo* policyi, nie da się u nas zaprowadzić w tym rodzaju procederu ulicznego.

Pożegnanie dyrektora banku.

Finansista, znajdujący się na wielce odpowiedzialnem stanowisku jednego z kierowników jakiejś wielkiej instytucyi bankowej, nietylko, że ma wogóle trudne zadanie do spełnienia, ale także rzadko kiedy

zdobywa sympatyę w szerokich kołach, bo wszystkim dogodzić jest trudno. Bywają jednak finansiści, którzy, dzięki wrodzonemu taktowi oraz zaletom charakteru, umieją zaskarbić sobie zarówno uznanie wszystkich, co z nimi wchodzą w styczność, jako też kolegów i podwładnych.

Jednym z takich właśnie wyjątkowych przedstawicieli sfer finansowych jest p. Alfred Szancer, którego portret podajemy w dzisiejszym numerze, dotychczasowy prokurzysta filii lwowskiej Wiedeńskiego Banku Związkowego, powołany obecnie na stanowisko dyrektora filii krakowskiej tegoż Banku.

Druga nasza rycina przedstawia uczestników bankietu, którym w hotelu „Bristol“ żegnali świeżo mianowanego dyrektora liczni przyjaciele, jakich sobie zjednał we Lwowie, mimo stosunkowo krótkiego pobytu w tem mieście. Nie wątpimy, że i w Krakowie zdobędzie sobie p. Szancer również wielu przyjaciół, mając przed sobą otwarte pole działania w duchu prawdziwie obywatelskim, jako dyrektor tak poważnej instytucyi finansowej.

Poświęcenie nowej fabryki w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 8).

Setki tysięcy rocznie wydaje się u nas na zeszyty i inne papierowe przybory szkolne, to też z uznaniem podnieść należy otwarcie w Krakowie „Spółki udziałowej“, która założyła przy ul. św. Marka l. 17, nową fabrykę dla wyrobu zeszytów szkolnych. W skład spółki wchodzą: Związek nauczycieli szkół ludowych, kupiec krakowski p. Jan Fischer i Antoni Procner, inżynier z Królestwa.

W ubiegłym tygodniu odbyło się poświęcenie lokalu, poprzedzone mszą św. w kościele św. Krzyża, którą odprawił ks. Łaski. W nabożeństwie i poświęceniu wzięło udział wiele zaproszonych wybitnych osobistości, między innymi, prezydent Leo, poseł dr. Bandrowski, starszy kongregacyi kupieckiej p. Schwarz, prezes krajowego Związku nauczycielskiego radca St. Nowak z członkami Zarządu związkowego i gronem nauczycieli z Krakowa i Podgórza, inspektor szkolny z Podgórza p. Udziela, dyr. Parczyński i Gettlich, prezes „Straży polskiej“ p. Bartoszewicz, wiceprezes „Sokoła“ dr. Rowiński i wielu innych.

Po nabożeństwie zwiedzili goście urządzenie fabryki, zostającej pod technicznem kierownictwem p. Antoniego Procnera. W obszernych salach mieszczą się maszyny, służące do cięcia papieru, do liniowania i zeszywania kajetów. Inne sale zapełniają maszyny do wyrobów papierowych, do składania kopert, do drukowania okładek itd. Mniejsze ubikacye nowej fabryki przeznaczone są na składy surowego materyału, sortownie i magazyny gotowych już wyrobów.

Po zwiedzeniu, właściciele fabryki podejmywali zaproszonych gości skromnem śniadaniem, w czasie którego wygłoszono szereg podniosłych przemówień. Radca miejski p. Stanisław Nowak wygłosił toast na pomyślność nowej fabryki, poczem kolejno zabierali głos w sposób nader serdeczny, poseł dr. Bandrowski, ks. Łaski, prezes Bartoszewicz, pan Fischer, dyr. Parczyński i inni.



Pożegnanie dyrektora Banku: Dyrektor Alfred Szancer.

Nowej placówce w walce o nasz przemysł krajowy rokować należy jak najświetniejszą przyszłość, jeśli tylko społeczeństwo nasze na zapomni o ciążącym na niem obowiązku popierania własnej wytwórczości. Za tanie pieniądze otrzymuje się doborowy towar i ma się tę satysfakcyę, że wydany grosz zostaje w kraju i przyczynia się do podniesienia rodzimego przemysłu.

Głosy publiczne.

Papier Słowackiego. Komitet obchodu setnej rocznicy urodzin J. Słowackiego we Lwowie, zwraca się do P. T. Publiczności z uprzejmą prośbą, by przy zakupnie papierów listowych żądała w sklepach papierów Słowackiego, wyrobu jedynej w kraju fabryki

S. W. Niemojowskiego we Lwowie

Część dochodu z rozsprzedaży tego papieru przeznaczona jest na fundusz budowy pomnika poety, a ponieważ ceny w niczem się nie różnią od cen innych papierów, przeto P. T. Publiczność zakupując papier Słowackiego, *bez żadnego dla siebie* uszczerbku, przyczyni się do wystawienia pomnika poecie.

Papier Słowackiego jest do nabycia we wszystkich sklepach we Lwowie w Krakowie i w miastach prowincyonalnych, a gdzieby go nie było, zwrócić się należy wprost do fabrykanta S. W. Niemojowskiego we Lwowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Esde O.: Szarady umieścimy, o ile nadadzą się do druku, wynagrodzenia nie płacimy za nie żadnego. Obecnie teka nasza jest obficie zaopatrzona przez P. T. Czytelników.

WP. F. F. z Królestwa Polskiego: Radzimy zwrócić się do redakcyi któregoś z czasopism literackich lub najlepiej wprost do Akademii Umiejętności w Krakowie, która rozporządza funduszami na wydawnictwa zasługujących na to dzieł w języku polskim. Sekretaryat Akademii udziela chętnie wszelkich wyjaśnień.

WP. Maryan Szromba Nowy Sącz: Prosimy.

A. b. c. Biała: Wylosowane nagrody przesyłamy na własny koszt, lecz na niebezpieczeństwo wygrywającego, jeżeli przesyłka zginie na poczcie. Owe 35 hal. przesyła wygrywający tylko wtedy, jeżli życzy sobie, by wygraną przesłać mu jako przesyłkę poleconą.

Z półek księgarskich.

MACIERZ POLSKA. Celem uczczenia setnej rocznicy pamiętnego boju na polach raszyńskich wydała Macierz Polska książeczkę p. t.: **Bitwa pod Grunwaldem** pióra dra *Adama Skałkowskiego.* Nie suche to opowiadanie, lecz szereg barwnych obrazów, działających na wyobraźnię i na uczucie. Ale choć autor pisze dla warstw najszerszych i ma cel jasno określony, poznać, że czasy te zna doskonale, to też dorzuca niejeden szczegół cenny i dla kół fachowych. Książeczka liczy stron 39, i zawiera 7 rycin i mapkę Księstwa Warszawskiego. Cena 25 halerzy.



Fot. M. Münz Lwów.

Pożegnanie dyrektora Banku: Bankiet wydany na cześć dyrektora Alfreda Szancera

Walka kobiet.

Zanim napiszemy słów parę o tej artystycznej walce, zwracamy uwagę Czytelników, iż przed kilku dniami ukazała się w dziennikach warszawskich notatka, p. t. „Zafantowana śpiewaczka“ — w odpowiedzi na którą dyrektor teatru lwowskiego daje następujące wyjaśnienie:

P. Korolewicz-Waydowa zawarła z podpisanym umowę, mocą której zagwarantowano p. Korolewicz-Waydowej w sezonie 6½ miesięcznym sześćdziesiąt występów za sumę 33.000 (wyraźnie trzydzieści trzy tysiące koron). (Cała subwencya operowa wynosi 20.000 koron). Pani Waydowa zobowiązała się śpiewać między innemi operami także Brunhildę w operze Wagnera „Zmierzch Bogów“ i jedną polską operę.

Zaraz z początkiem sezonu (zdaje się w październiku) wręczyłem pani Waydowej partyę Brunhildy, którą p. W. zwróciła po kilku tygodniach, oświadczywszy, że partyi tej śpiewać nie może. Chociaż angażowałem do „Zmierzchu Bogów“ p. Męcińskiego, sprowadziłem materyał muzyczny za 1.200 koron, chociaż p. Stanisław Jasieński wymalował dekoracye, za które również zapłaciłem, nie chciałem korzystać z zerwania umowy przez p. W. zawartej, a tem samem żądać zapłacenia penale, lecz przeszedłem nad całą sprawą do porządku dziennego.

W kilkanaście dni później oświadczyła mi p. Waydowa, że możebym wystawił zamiast „Zmierzchu Bogów“ — „Demona“ Rubinsteina — „Tamarę“ już śpiewałam i bardzo chętnie zaśpiewam ją we Lwowie. Zgodziłem się na to, a nawet posłałem wyciąg z tekstem polskim, celem podłożenia partyi Tamary. Tymczasem zaraz na drugi dzień po odesłaniu wyciągu z powodu zmian repertuarowych, oświadczyłem p. Waydowej, że opera „Marya“ Sołtysa wystawioną zostanie już w marcu, a że pani W. ma obowiązek śpiewania jednej polskiej opery, zmieniam obsadę „Demona“ i proszę o śpiewanie „Maryi“.

P. Waydowa oburzyła się tem „odebraniem“ partyi i oświadczyła mi, że jeżeli „Tamary“ śpiewać nie będzie, natychmiast wyjeżdża. Tłómaczyłem p. W., że przez śpiewanie „Maryi“ gwarancya występów będzie uzupełnioną, a przecież teatr lwowski nie może jednej śpiewace płacić w sezonie więcej niż 33.000 kor., przecież Łucya Weidt w Wiedniu ma za cały rok 36.000 koron a więc prawie o połowę mniej, przecież kontrakt nie może być jednostronnym, gdybym Pani nie chciał zapłacić gwarantowanej sumy, mogłaby Pani mieć słuszną pretensyę!“



Janina Korolewiez

P. Waydowa nie chciała uznać słusznych wywodów i oświadczyła stanowczo, że wyjeżdża. Na drugi dzień posłałem p. Waydowej partyę „Maryi“, lecz odesłała ją wraz z listem p. Władysława Waydy, który oświadczył, że żona śpiewać nie będzie i z powodu „odebrania“ partyi „Tamary“ nie uważa się za artystkę sceny lwowskiej. Na trzeci dzień posłałem raz jeszcze list do p. Waydowej i partyę „Maryi“, by sama (gdyż z panią W. była umowa) oświadczyła, czy partyę przyjmuje i czy solidaryzuje się z oświadczeniem p. Władysława Waydy. I na ten list otrzymałem odpowiedź od p. Wład. Waydy wraz z partyą „Maryi“.

Wobec powyższego, sprawę oddałem memu zastępcy prawnemu, który zmuszony był przez notaryusza p. Waydową zapytać, czy rzeczywiście partyi nie przyjmie i czy kontrakt samowolnie zrywa, gdyż nie mogąc od niej otrzymać odpowiedzi pisemnej, prosimy o notaryalne zeznanie.

Pani Waydowa prosiła o zwłokę jednodniową jeszcze, oświadczając, że na drugi dzień przed godziną dwunastą da odpowiedź. Odpowiedzi nie dała, a mój zastępca prawny na moje życzenie wniósł natychmiast skargę sądową, a z powodu gróźb kilkakrotnie wyrażanych, że wyjeżdża, o zabezpieczenie sumy zastrzeżonej konwencyonalną karą.

Na drugi dzień zawiadomił p. Dr. Dwernicki mego zastępcę prawnego, że p. Waydowa pragnie porozumienia, na które i ja się zgodziłem, chociaż wygranie sprawy z mej strony nie ulegało żadnej wątpliwości.

Więc gdzie fantowanie? A teraz jak wygląda to pokrzywdzenie p. Waydowej przez p. Bohuss (Hellerowa).

P. Waydowa śpiewała do dnia dzisiejszego we wszystkich premierach z wyjątkiem „Bolesława Śmiałego“, lecz i w tym wypadku jest to winą wyłączną kompozytora p. Ludmiła Różyckiego.

Niżej podpisany przez sześć tygodni upierał się przytem, żeby partyę „Krysty“ w Bolesławie śpiewała p. Korolewicz-Waydowa, a nie pani Bohuss, prosił nawet o interwencyę w tej sprawie pp. kapelmistrza Stermicza, reżysera Floryańskiego, tłómaczyłem p. Różyckiemu, że p. Bohuss jako śpiewaczka liryczna nie powinna tej partyi śpiewać, lecz p. Różycki postawił sprawę jako „conditio sine qua non“ oddania opery, by pani Bohuss Krystę śpiewała. Dopiero pod tą presyą zgodziłem się na to. Tak wygląda pokrzywdzenie artystyczne p. Korolewicz-Waydowej i gnębienie jej przez panią Hellerową!!

A więc cztery premiery były przeznaczone dla p. Waydowej, a dla pani Bohuss? Żadna!! Przypadek tylko zrządził, że ma śpiewać pani Bohuss Tamarę (partyę *par excellence* liryczną) w Demonie i to po 6-cio miesięcznym sezonie!!

Pani Waydowa śpiewała 51 razy i pobrała kwotę 27.600 koron. (Dwadzieścia siedm tysięcy — sześćset) kor. Pani Bohuss — 19 razy.

Jeszcze jedno znamienne.

Od piętnastu lat prowadząc teatr (w tem ośm lat we Lwowie) miałem cztery sprawy sądowe z artystami. (Trzy wygrałem, nie otrzymawszy ani grosza). Pani Korolewicz-Waydowa prowadzi obecnie proces z dyrekcyą opery warszawskiej, a miała zatarg z kierownikiem opery panem Grąbczewskim, a w tym roku próbowała ze mną.

Opinia, która (jak głoszą dzienniki warszawskie) aferą tą się bardzo zajmuje, niechaj się dowie, jak strasznie krzywdzę artystów, a przedewszystkiem p. Korolewicz-Waydową. Proszę przyjąć i t. d.

Ludwik Heller.



Irena Bohuss-Hellerowa.

Zaciekawieni wysłaliśmy natychmiast specyalnego sprawozdawcę do Lwowa, który, zbadawszy rzecz na miejscu, komunikuje nam co następuje:

Przyszedłem do teatru i zwróciłem się zaraz do niektórych artystów w tej sprawie:

— Ależ redaktorze kochany — jestem od kilku lat na scenie lwowskiej i widzę p. Hellerową tylko wtedy w teatrze, gdy śpiewa. To musi być kobieta bez żółci! To anielska kobieta. Dlatego nie dziwiliśmy się wcale, że zupełnie niesłusznie była przez dyrekcyę niedocenianą.

Przechodząc kurytarzem, spotkałem właśnie p. Bohuss-Hellerową, zwróciłem się też zaraz z prośbą o udzielenie mi kilku słów wyjaśnienia.

— Bardzo chętnie — odpowiedziała — właśnie idę na próbę z *Demona*.

A to świetnie się składa, przybyłem bowiem w celu poinformowania się o tej nieszczęśliwej sprawie Tamary z „Demona“.

— Dowiedziałam się o tem i boleję nad tem bardzo, że ludzie wyrządzają mi krzywdę — a wierzaj mi Pan, że nie zrobiłam nigdy krzywdy mojej koleżance — irytuje mnie tylko to, że muszę śpiewać w teatrze lwowskim wtedy, gdy mąż mój jest dyrektorem. Ponieważ jestem żoną dyrektora, chcę być w cieniu — mam mój skarb w domu, moją Ewunię — ma już 3-ci rok. W jesieni będę już mogła wyjechać na dłuższe *tournée* — wtedy uwolnię się całkiem od podejrzeń. We Lwowie jestem obecnie z konieczności, gdyż z malutką dzieciną wyjechać nie mogłam, pomimo świetnych propozycyj, ale na przyszły rok tylko od czasu do czasu zawitam do Lwowa na tydzień, a po sezonie przez parę miesięcy odpoczywać będę na łonie rodziny. Może po kilku latach zaśpiewam swoim, którym śpiewałam lat 11 — to chyba dosyć. Publiczność lwowska była dla mnie zawsze łaskawą, tylko pojedyncze jednostki zazdroszczą czegoś.

— A czy pani nie mogłaby mi powiedzieć słów kilku o tem zerwaniu kontraktu, o odebraniu partyi w „Demonie“?

— W tej sprawie nic panu powiedzieć nie mogę! Nie mieszam się w sprawy teatru — przychodzę na próby, gdy mnie Pichor zawiadomi. Ale przepraszam — czekają na próbę — muszę spełniać obowiązki — nie mniej jak inni, wszak jestem żoną dyrektora.

Słowa te utkwiły mi dobrze w pamięci — a zebrane nadto informacye u innych, utwierdziły w przekonaniu, że nasza wielka liryczna śpiewaczka, nasza

nadzwyczajna Maon, Mimi, Tatiana — jest rzeczywiście anielską kobietą. Znając postać Tamary w operze „Demon“, nie wątpię, że p. Hellerowa stworzy postać idealną, jakiej pragnął poeta, a publiczność lwowska wynagrodzi wyrządzoną krzywdę naszej wielkiej artystce, oklaskując goraco znakomitą śpiewaczkę w roli Tamary — gdyż dziś już krążą wieści o wielkiej owacyi, jaką publiczność ma urządzić p. Hellerowej pudczas pierwszego przedstawienia „Demona“.

S. L.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 8.

Szarada: Rękawka.
Krzyż maglezny: Parkany, Zakinto, Francuz.
Szarada: Honorata.
Logogryf: Adam Mickiewicz.
Szarada: Witalis.
Logogryf: Artur Grottger.
Zagadka: Snop — pons.
Łamigłówka: Co głowa to rozum.

Dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek nadesłali Pp.: B. Komalski Tarnów, A. Szaleska Wiśnicz Stary, O. Górkowa Chyrów, E. Tyszarski Drohobycz, E. T. Płużno, A. Reszko Klecza górna, S. Medala Krosno, B. Mieczkowski Kraków, H. Ptaszyńska Lwów, S. Danziger Osiny, J. Tabor Lwów, K. Jurkiewicz Gwoździec, S. Lech Jaworzno, E. Gottwald Strusów, J. Wanio Kamionka Strum., A. Nikosiewiczowa Krzywe, Z. Sochacki Tarnopol, H. Hodkiewicz Warszawa, M. Rożański Gorlice, K. Schwarzówna Łaskowce, J. Rożniatorski Jabłonów, J. Gawrońska Kamionka Sirum., A. Połończykowa Żywiec, J. Badura Rożdzień, W. Kocyłowski Limanowa, A. Rotter Stanisławów, K. Kuwik Głębowice, K. Szymański Ostrów, J. Preis Brzesko, J. Paluch Sosnowiec, J. Hajduk Kraków, K. Motowska Babice, K. Silkiewicz Lwów, S. Rudnicki Zakopane, A. Chadalski Biadoliny, Z. Ciechanowska Stary Sambor, K. L. Lwów, F. Niepokój Krosno, D. Wisłocki Nowy Sacz, K. Januszkiewiczowa Kraków, Bronia Kl. Lwów, Br. Ertel Lwów, R. Gdula Lwów, S. Holinkowski Lwów, J. Januszkiewicz Podgórze, M. Kulka Glinik maryampol, St. Cześnikiewicz Kraków, M. wiszczowska Swoszowice, J. Wilczek Krzyżłoporzyce, T. Przybylski Podgórze, J. Hupert Lwów, Szkoła tkacka Wilamowice, A. Jezierski Kraków, J. Gromnicki Łaskowce, R. Turczyński Podhajce, T. Stojanowski Przemyśl, K. Fuchs Czeremchów, A Bocsoń Bóbrka, W. Laskowski Warszawa A. Kudła Tapin, X. W. Kwapiński Lwów, M. K. Pollakowa Sanok, J. Białowa Kraków Wolska, E. Witekowa Mościska, J. Augustynowicz Żywiec, E. Bogdalska Koropuż, W. Kowarzyk Lwów, G. Czubaty Wierzchnia, D. Papée Lwów, J. Kuc Bobowa, S. Koziołkowski Tarnów, P. Michalik Kurów, M. Malaczyń-ski Pikułowice, Z. de Boulange Gawłówek.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **K. Szymanowksi** Ostów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przemyłki poleconej.

Głosy publiczne.

Najzupełniej bezpłatnie wysyła Grand Magasin „Au Prix Fixe“, Wien I., Habsburgergasse 1/7 co tylko zestawioną kolekcyę wzorów materyi i illustrowany żurnal mód, które panujące obecnie mody najdokładniej uwidoczniają.

Przystępując do wydawnictwa listów, mów i poezyi księcia ***Kazimierza-Nestora Sapiehy*** (generała artyleryi Litewskiej i marszałka konfederacyi Litewskiej: 1757—1758) zwracam się z uprzejmą prośbą do tych wszystkich, którzy są w posiadaniu wymienionych lub innych pism ***Kazimierza-Nestora Sapiehy*** (lub mają w tym kierunku jakąkolwiek wiadomość) o łaskawe udzielenie mi o nich informacyi.

Władysław ks. Sapieha.
(Galicya).

Kącik humorystyczny.

Z przed kulis.

Bileter (do ucznia gimnazyalnego): Może pozwoli pan afisz, kosztuje 10 hal.?

Uczeń: Dziękuję, nauczyłem się go już na pamięć...

Z karnawałowych wspomień.

— Ach biedny ten Staszek, jeszcze na tamtej reducie był z żoną, a od dwu dni leży u Żuławskiego.

— Daj spokój! Jeśli w tamtym tygodniu był z żoną na reducie, to widać, że już wtedy miał bzika!

Z »hofu« koszarowego.

Rozkaz dzienny pewnego pułku kawaleryi zawierał postanowienie, że każdy szwadron ma jednego żołnierza, odpowiednio uzdolnionego przeznaczyć jako „*krankenwärtra*“ do służby w miejcowym szpitalu garnizonowym, przyczem w pierwszym rzędzie należy uwzględnić dobrowolnie się do tej służby zgłaszających. Nazajutrz przy raporcie piątego szwadronu, rozgrywa się następująca scena:

— Panie rotmistrzu! — mówi dragon Wondraczek — melduję posłusznie, że się zgadzam na „*krankenwärtra*“!

— A to dlaczego? — pyta rotmistrz — Czy masz jakie zdolności w tym kierunku?

— Tak jest panie rotmistrzu! Ja się znam na tym fachu!...

— A czem byłeś w cywilu?

— Panie rotmistrzu melduję posłusznie.... *grabarzem!*....

Racya.

On: Piękna panno Lauro, wysłuchaj mnie pani.

Ona: Właściwie, to pan jest dla mnie za stary, ale namyślę się do jutra.

On: Ależ urocza, jutro będę jeszcze starszy.

Z półek księgarskich.

Przegląd krytyki artystycznej i literackiej, dwutygodnik. Warszawa. Wychodzi w pierwszą sobotę po 1. i 16. każdego miesiąca pod kierukiem Józefa Rozprzy-Krobickiego.

W pierwszym numerze pisma, który opuścił prasę drukarską w dniu 23. stycznia b. r. powiada wydawca w przedmowie, iż rozpoczyna wydawnictwo zupełnie nowegr typu, które dopiero z biegiem lat wytworzyc ma nową formę pozytywnej krytyki twórczej. Nowe pismo ma być terenem szlachetnego ścierania się wszelkich głębszych, a szczerych przekonań i pojęć estetycznych. Dla szerszego ogółu Czytelników wprowadzono działy, które ich niewątpliwie zainteresują, a wreszcie rysunki, które umieszcza się w miarę potrzeby, jako artystyczne uzupełnienie literackiej treści pisma. Treść dwu pierwszych zeszytów jak również i szata ich zewnętrzna przedstawiają się nader dodatnio.



W interesie własnego zdrowia powinien każdy żądać wszędzie tylko

TUTEK CYGARETOWYCH

Z FABRYKI RUDOLFA HERLICZKI W KRAKOWIE

Ostrzega się przed licznemi naśladownictwami, które się w ostatnich czasach pojawiły!

Wzory i cenniki wysyła fabryka na żądanie darmo i opłatnie.

B. Wierzejski, Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej

Magazyn nowości poleca tanio w nadzwyczajnym wyborze: **Koszule** kolorowe i białe, **Rękawiczki** z gwarancyą trwałości, **Kapelusze**, Przybory do podróży. Jako specyalność: **Krawatki i Perfumy**.

Nie sprzedaję nic pruskiego. Magazyn poddałem kontroli „Straży polskiej“

Cenniki darmo i opłatnie.

Reim i Spółka Kraków

Rynek 37 Linia A. B.

polecają po cenach najtańszych

PERFUMY krajowe francuskie i angielskie

Gąbki, Grzebienie i wszelkie inne artyk. toal.

NOWOŚĆ: **Mydła** na wydelikatnienie cery **Violettes de Nice „Nr. 810“** karton 3 szt. za Koron 2·00 **Mydła** kwiatowe o silnym zapachu karton 6 szt. Kor. 1·00 **Mydła** toaletowe o silnych zapachach za 1 kg. K. 2·00 **Mydła** Malinowskiego z Warszawy **Schampoo-Tarool** do mycia głowy i przeciw łupieżowi.



Kule i kręgle z drzewa Lignum Sanctum

Huśtawki ogrodowe i inne przyrządy gimnastyczne.

PERFUMY w ozdobnych kasetkach

Na święta Wielkanocne! Smigusy w rozmaitych kształtach. **FARBY** do kolorowania. **PAPIER** marmurkowy do pisanek tychże **FARBY** roślinne do cukrów i potraw.

Galaretki, proszki drożdżowe i inne przetwory.

LAKIERY KREMY i PASTY do odświeżania i konserwowania skóry.

KIJE, KULE, **Kręgielki i inne przybory do gry bilardowej.**

Kompletne aparaty do golenia „Gillet“

Kalosze rosyjskie i amerykańskie.

Cenniki darmo i opłatnie



FRANCUSKIE

PATHEFONY

S.Grudziński & T. Berger, Kraków, Szewska 10

Grające bez igły, czysto i naturalnie od k. 45·— Płyty po k. 4·50. Gramofony od k. 24·— Płyty najlepszych marek. Naprawy. Przeróbki gramofonów na Pathefony. **Cenniki gratis.**

Tadeusz Węglarski

właściciel pierwszorzędnej pracowni sukien damskich w Krakowie i Zakopanem otworzył z dniem 15-go lutego b. r. filię we Lwowie, ul. Halicka 10 I. piętro, pod kierownictwem dyplomowanego za granicą przykrawacza Józefa Dadeja i wykonuje wszelką konfekcyę damską według najnowszej mody z własnych doborowych krajowych, angielskich i franc. materyałów. — Krój angielski. — Specyalista amazonek. — Ceny umiarkowane.

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI

W KRAKOWIE, ULICA GRODZKA L. 2



Zdzisław Zdanowicz

Kraków

ul. Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Tel. 516.

Magazyn galanteryjny, Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Loroux.

2 (Cąg dalszy).

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy wchodząc do bramy, spotkałem swego służącego z moją walizą. Zapytałem go, co to ma znaczyć, odpowiedział mi jednak, że nic nie wie, że pan Rouletabille da zapewne wyjaśnienia.

Podczas gdy ja go wszędzie szukałem, ma się rozumieć tylko nie u siebie, on udał się do mego mieszkania, kazał służącemu przynieść moją walizę, w której ułożył bieliznę na cztery do pięciu dni. Potem rozkazał przenieść cały ten bagaż do siebie. Po kilku chwilach byłem już u Rouletabille'a i zastałem go, jak najspokojniej układał swoją bieliznę. Dopóki nie ukończył tego zajęcia, nie mogłem wyciągnąć z niego ani jednego słowa, wreszcie po zamknięciu walizy oznajmił mi, iż „mamy skorzystać z wakacyj wielkanocnych". Ponieważ ja byłem wolny, a on otrzymał w redakcyi kilkudniowy urlop, nie możemy więc nic lepszego uczynić, jak odpocząć na brzegu morza. Nie odpowiedziałem mu, tak byłem wzburzony jego postępowaniem, jak i propozycyą przyglądania się oceanowi w najgorszym czasie wczesnej wiosny. Nie wzruszył się jednnk mojem milczeniem, lecz biorąc do ręki obie walizy, pociągnął mnie za sobą na dół do dorożki. W pół godziny potem jechaliśmy już do Treport. Gdyśmy wjeżdżali na dworzec w Creil, odezwał się:

— Dlaczego nie dajesz mi listu, który ci wręczono dla mnie?

Popatrzyłem na niego. Domyślił się, iż Matyldzie musiała być przykrą jego nieobecność na dworcu i że napisała do niego. Było to dość sprytnie pomyślane. Odpowiedziałem:

— Ponieważ nie zasługujesz na to.

I zrobiłem mu kilka wymówek, na które on jednak nie zwrócił uwagi. Dałem mu wreszcie list. Wziął go, obejrzał, powąchał. Przypatrywałem mu się bacznie, zmarszczył na to brwi, pragnąc w ten sposób ukryć swe wzruszenie, udało mu się jednak to, dopiero gdy przytknął czoło do szyby i zaczął przyglądać się migającemu przed oczami krajobrazowi.

— Nie chcesz go przeczytać? — odezwałem się.

— Nie — odpowiedział — nie tutaj... tam dopiero!

Przybyliśmy do Treport w nocy w najpodlejszy czas po sześciu godzinach jazdy. Wiatr morski mroził nas. Na wybrzeżu nikogo nie było, spotkaliśmy tylko strażnika celnego, który okryty swym płaszczem, z kapiszonem zapuszczonym głęboko na głowę, musiał pełnić dyżur. Dorożki ani śladu, z oddali dobiegał nas tylko odgłos trepów drewnianych jakiejś zapóźnionej mieszkanki. Przeklinałem, w'okąc się za Rouletabille'm, który wiódł mnie wśród otaczającej wilgotnej ciemności. Musiał znać jednak tę miejscowość, gdyż doprowadził mnie wreszcie do jakiegoś hotelu otwartego w tym czasie na plaży Zażądał w tej chwili kolacyi i napalenia w piecu, gdyż zmarzliśmy i byliśmy głodni.

— Może teraz raczysz mi powiedzieć — odezwałem się — czego właściwie mamy szukać tutaj, oprócz reumatyzmu, który czyha na nas i zapalenia płuc, jakie nam grozi?

W chwili tej bowiem Rouletabille kaszlał, nie mogąc się rozgrzać.

— Zaraz ci powiem. Mamy szukać *zapachu damy w czerni!*

Zdanie to do tego stopnia przejęło mnie, iż nie mogłem spać przez całą noc. Wiatr huczał ciągle, rozbijając o brzeg wodę w żałosnych skargach i wywał się w ciasne uliczki miasteczka, trzęsąc domami. W bocznym pokoju, który zajmował mój przyjaciel, słychać było jakiś szmer. Wstałem i zajrzałem do niego. Mimo zimna, mimo wiatru, otworzył okno i stał w niem, posyłając pocałunki w czarną przestrzeń.

Zamknąłem delikatnie drzwi i położyłem się znowu. Rano obadził mnie Rouletabille przestraszony. Na twarzy jego widać było wielką trwogę; podał mi depeszę, którą odesłano mu tutaj z Paryża. „Natychmiast proszę przybyć! Zrzekliśmy się podróży na Wschód, jedziemy do Stangersona do Mentony. Depesza ta niech zostanie w tajemnicy. *Nie można nikogo przestraszać.* Pod pretekstem urlopu proszę przyjechać. Telegrafować *poste-restante* Mentona. Prędko, prędko, oczekuję. Zrozpaczony Darzac".

III.

— Nie dziwię się wcale! — zawołałem, wyskakując z łóżka.

— Nie wierzyłeś nigdy w *jego* śmierć? — zatał Rouletabille, tak bardzo wzruszony, iż nie mogłem wytłomaczyć sobie tego mimo treści depeszy.

— Nie bardzo! Tak mu zależało na tem, by uchodził za umarłego, iż mógł poświęcić kilka dokumentów dla tego celu, w czasie rozbicia okrętu. Lecz co tobie się stało?... Wydajesz się zupełnie osłabionym. Czyś chory?...

Rouletabille opadł na krzesło. Drżącym głosem przyznał mi się, iż w śmierć *jego* uwierzył dopiero po ślubie. Nie mógł pogodzić się z tą myślą, by Larsan nie przeszkodził aktowi, ktory Matyldę Stangerson oddawał Darzacowi. Wystarczyło ukazanie się Larsana w kościele, by nie dopuścić do ślubu; mimo całego niebezpieczeństwa, jakiem groziłaby mu ta manifestacya, odważyłby się na nią, znał bowiem uczucia religijne córki profesora Stangersona, iż nigdy nie związałaby się z drugim człowiekiem za życia pierwszego męża, choćby prawa świeckie zwolniły ją od niego.

Wziąłem za rękę Rouletabille'a, była gorąca. Chciałem go uspokoić, nie słuchał mnie jednak.

— I oto czekał kilka godzin po ślubie, by zjawić się. Tak dla mnie, jak i dla ciebie, depesza Darzaca nie może nic innego znaczyć, jak tylko to, że *tamten powrócił.*

— Prawdopodobnie!... lecz Darzac mógł się pomylić.

— O, Darzac nie jest dzieckiem, które się boi.. A jednak trzeba przypuszczać, czyż nie tak, Sainclair, że się pomylił? Nie, nie! to niemożliwe, to byłoby zbyt straszne!... zbyt okrutne, mój drogi!... Oh! Sainclair, jakież to straszne!

Nie widziałem nigdy Rouletabille'a tak podnieconym. Podniósł się i zaczął chodzić po pokoju, przestawiał przedmioty, potem znowu patrzył na mnie i powtarzał: Zbyt straszne!... Zbyt straszne!...

Zwróciłem mu uwagę, iż nie można się tak denerwować z powodu depeszy, która nie dowodziła niczego i mogła być tylko płodem rozbudzonej wyobraźni... A przytem — dodałem — teraz zupełnie nieodpowiednia chwila do niepokojenia się, gdy trzeba zachować całą zimną krew.

— Tak, istotnie Sainclair, nieodpowiednia... nieodpowiednia!..

— Przestraszasz mnie, mój drogi, swoim stanem!... Co się dzieje?

— Dowiesz się wkrótce... Położenie jest straszne... Dlaczego on nie umarł?

— A któż ci powiedział, że nie umarł?

— Widzisz, to dlatego... Pst!... Daj już spokój!... Powiem ci, że *jeżeli on żyje, jabym wolał być już martwym!*

— Waryat jesteś! Waryat! właśnie, jeżeli on żyje, ty tembardziej winieneś żyć, by jej bronić!

— To prawda, co mówisz! Największa prawda! Dziękuję ci... Powiedziałeś słowo, które mi nakazuje żyć: „Ona!" Czy uwierzysz mi, że ja myślałem tylko o sobie!... tylko o sobie!...

Rouletabille trząsł się cały Wzburzony, tak, iż musiałem wziąć go w ramiona i prosić, by mi powiedział, dlaczego wspominał o swej śmierci, dlaczego jest tak wzruszony.

— Jak przyjacielowi, jak swemu najlepszemu przyjacielowi, Rouletabille!... Powiedz mi, powiedz! Ulży ci to!... Zwierz mi swój sekret! Powiedz, dlaczego on cię tak męczy!...

Rouletabille oparł rękę na mojem ramieniu... spojrzał mi w głąb oczu, jakby przeniknąć chciał do serca i rzekł:

— Wszystkiego dowiesz się, będziesz wiedział tyle, co i ja, lecz zostaniesz tak przerażony, jak i ja, ponieważ jesteś dobrym, moim przyjacielem, ponieważ wiem, że mnie kochasz!

Sądziłem, że już mi wszystko wyzna, ograniczył się tylko do zarządania rozkładu jazdy.

— Wyjedziemy stąd o pierwszej, gdyż niema wcześniejszego pociągu i o siódmej przybędziemy do Paryża. Starczy nam jeszcze potem czasu, by ułożyć rzeczy i o dziewiątej ruszyć do Mentony.

Nie pytał się mnie o zdanie; wiedział że w tych warunkach nie mogę mu niczego odmówić. Zresztą był on w takim stanie, iż gdyby nawet sam nie chciał, jabym go nie opuścił; przytem rozpoczynał się czas świąteczny i byłem zupełnie wolny.

— Jedziemy więc teraz do Eu? — zapytałem.

— Tak, tam wsiądziemy do pociągu. Pół godziny starczy, by przejechać końmi z Treport do Eu...

— Nie długo więc tu będziemy pozostawali?

— Dosyć, sądzę... dosyć na to, po co tu przyjechałem!

Pomyślałem o zapachu damy w czerni i zamilkłem. Czyż nie powiedział, że wszystko mi wyzna? Poprowadził mnie nad brzeg. Wiatr był jeszcze silny i musieliśmy schronić się za latarnię morską. Przez chwilę pozostawał zamyślony i zamknął oczy przed morzem.

— Tutaj — odezwał się — widziałem ją po raz ostatni.

Spojrzał na kamienną ławkę.

— Siedzieliśmy tutaj; przycisnęła mnie do swego serca. Byłem wtedy małem dzieckiem, miałem zaledwie dziewięć lat... Powiedziała mi, bym został na tej ławce i odeszła i nigdy już potem nie widziałem jej... Był to wieczór... miły letni wieczór dnia rozdawania nagród!... Nie była na tej uroczystości, wiedziałem jednak, że zjawi się wieczorem... w wieczór oświetlony gwiazdami, w blasku których mogłem na nią patrzyć. Twarz jednak zakryła woalką, wzdychając ciężko. Potem odeszła i nigdy już jej nie widziałem...

— A ty, mój drogi?

— Ja?

— Tak, coś uczynił? Długo pozostawałeś na ławce?

— Chciałem... przybył jednak po mnie stangret i wróciłem...

— Dokąd?

— Dokąd? Do kolegium...

— Jest więc w Treport kolegium?

— Nie, ale jest w Eu... wróciłem do kolegium w Eu...

Dał mi znak, bym szedł za nim.

— Chodźmy tam — rzekł. — Jakże ja mogę widzieć tutaj coś?... Zbyt wiele burz tu przeszło...

W pół godziny potem byliśmy w Eu. Na końcu ulicy des Marroniers powóz nasz jechał z wielkim hałasem po twardym bruku, a stangret strzelał z bata, oznajmując w ten sposób nasz przyjazd i napełniając małe miasteczko głośnym trzaskiem.

Wkrótce usłyszeliśmy ponad dachami dźwięk zegara — kolegialnego. poinformował Rouletabille i wszystko ucichło. Powóz zatrzymał się na placu, stangret znikł w restauracyi. Weszliśmy w cień wysokiego kościoła gotyckiego, który stał na rogu placu. Rouletabille rzucił spojrzenie na zamek, którego widać było mury z czerwonej cegły, pokryte licznymi daszkami, z ponurym frontem, jakby opłakującym swych wypędzonych książąt; spoglądał na merostwo z wywieszoną brudną flagą, na milczące domy, na paryską kawiarnię — kawiarnię panów oficerów — szyldy fryzyera i księgarni. Czyż nie stamtąd miał pierwsze książki, kupione przez damę w czerni?...

— Nic się nie zmieniło!

Stary pies z wypłowiałą sierścią leżał na progu księgarni, opierając na wyciągniętych łapach swój pysk.

— To Cham! — rzekł Rouletabille. Oh, poznaję go dobrze!... To Cham! Mój dobry Cham!

Zawołał:

— Cham! Cham!

Pies podniósł się, zwrócił się do nas, wsłuchując się w głos, który go wołał. Zrobił kilka kroków, otarł się o nas i zawrócił obojętny na dawne swe miejsce.

(Ciąg dalszy nastąpi).